

Annette Broadrick

Uroczą pianistka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Telefon Jude'a Crenshawa zadzwonił o siódmej rano, budząc go z głębokiego, nieprzytomnego snu w mieszkaniu w Fort Meade, w Marylandzie. Jude wymacał słuchawkę, nie otwierając oczu.

- Crenshaw - mruknął.

- Tu Biuro Kincaid. Proszę chwilę poczekać.

W jednej chwili oprzytomniał. Kincaid była jego szefową w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Jude pracował dla Agencji od prawie czterech lat. Został tu zatrudniony po odejściu z armii, gdzie służył w Oddziałach Specjalnych. Przeszło trzy lata działał w terenie; sześć miesięcy temu awansowano go na stanowisko kierowniczego.

Nie miał pojęcia, dlaczego Jackie Kincaid dzwoni do niego o tak wczesnej porze. Usiadł, przeciągnął ręką po twarzy i opuścił nogi na podłogę.

W słuchawce zachrobotało.

- Jude? Tu Jackie. Przepraszam, że zawracam ci głowę tak wcześniej. Próbowałam się do ciebie dodzwonić wieczorem, ale chyba miałeś wyłączoną komórkę...

Odchrząknął.

- Dwa tygodnie byłem na wschodnim wybrzeżu. Wróciłem do domu dziś nad ranem.

- Uhm, no tak, jesteś na urlopie... Mimo wszystko chciałabym, żebyś wpadł do Agencji.

- Kłopoty z kadrami?

- Nie, nic takiego. Chcę cię mieć na pewnym spotkaniu w departamencie. Dziś o dziewiątej.

Zmarszczył czoło.

- A w jakim departamencie konkretnie?

- Agencji do Zwalczania Handlu Narkotykami.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Myślisz, że zdążysz na dziewiątą?

Jude ziewnął, ale po cichu.

- Jasne. Nie ma problemu.

- Dobra. W takim razie do zobaczenia.

Jude wstał i przeciągnął się. Jego organizm ciągle żył w rytmie czasu Pacyfiku, co oznaczało, że powinien być w tej chwili obracać się w łóżku na drugi bok.

Ruszył do kuchni i uruchomił ekspres do kawy, po czym skierował się do łazienki.

Po prysznicu zajrzał do lustra. Spojrzenie miał wciąż nie całkiem przytomne. Przesunął ręką po policzku: trzeba by się ogolić. I nieźle by też było przystrzyc włosy. Przekrzywił głowę... Uznał, że jakoś wypłowieł pod kalifornijskim słońcem. Znaczyło to, że jego blond włosy prawie zbieleły i mocno kontrastowały z opaloną skórą.

Wytarł się, ogolił i ubrał. W kuchni ryknął trochę kawy.

wlewając resztę do termosu. Postanowił, że wypije ją w drodze, podczas jazdy.

Zeszedł na dół do garażu. Otworzył bramę pilotem i uśmiechnął się na widok swego porsche. Lubił ten dwuosobowy samochodzik, więcej: kochał. Była to niezawodna maszyna, zarazem mało wymagająca. I w ogóle taka sympatyczna. Nie miewała nastrojów, nie żądała adoracji... Nie zgłaszała pretensji, gdy długo się nie widywali. Do tego była piękna.

Włączył silnik i znowu się uśmiechnął. Spod maski wydobyło się mruczenie ciche, przyjazne, ale też pełne siły. Jak mruczenie oswojonej pumy.

Wkrótce Jude był na autostradzie. Mimo godziny szczytu jechało się płynnie, tak iż rzeczywiście można było zaryzykować odkręcenie termosu, bez obawy staranowania kogoś.

Na miejsce przybył przed czasem. Rozluźniony, skierował się najpierw do swego biura, aby sprawdzić, czy jest jakaś poczta. Dopiero potem ruszył na piętro, do Jackie Kincaid.

Wszedł do sekretariatu szefowej i zatrzymał się przed biurkiem Justine, jej asystentki. Ta obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Gratuluję opalenizny - powiedziała. - Też bym chciała taką mieć. Ale... - wzruszyła ramionami.

Uniósł jedną brew.

- Ale co? Nie martw się, lato i ciebie nie ominie... Ja do Jackie - pokazał głową. - Jestem zamówiony na dziewiątą.

- No to śmiało, panie ładny. - Justine wykonała gest.

Puścił mimo uszu owo „panie ładny”, zrobił zwrot, zapukał do gabinetu kierowniczkii i wszedł do środka.

Naprzeciw biurka Jackie siedzieli trzej mężczyźni i kobieta. Wszyscy obrócili głowy, gdy przekraczał próg. Mieli dziwnie zatroskane miny.

Jeden z mężczyzn podniósł się.

Wyglądał na człowieka pod pięćdziesiątkę, a może nawet starszego. Skronie miał osrebrzone, twarz pooraną. Poza tym jednak wydawał się krzepki, pewnie regularnie ćwiczył. Zlustrował Jude'a tak władczym spojrzeniem, że ten odruchowo potarł sobie czubki butów o nogawki.

- Jude, to jest Sam Watson z Agencji do Zwalczania Handlu Narkotykami - odezwała się Jackie. - A to są jego agenci: John Greene, Hal Pennington i Ruth Littlefield.

Na te słowa podnieśli się już wszyscy i Jude po kolei uściśnął im ręce.

- No, skoro jesteśmy w komplecie - podjęła Jackie - to przejdźmy może do salki konferencyjnej. - Odsunęła fotel, wstała i wskazała zebrany drogę. - Będziemy tam mieli więcej miejsca.

Kiedy zasiedli za stołem konferencyjnym, Jackie powiedziała:

- Sam, teraz może ty wytłumaczysz Jude'owi, dlaczego chciałeś go tutaj mieć.

Watson uśmiechnął się, co tak odmieniło jego rysy, iż Jude uznał, że mężczyzna ten jest jednak dużo młodszy, niż myślał.

- W porządku, Jackie. A więc, Jude - Watson nachylił się nad stołem - mamy w tej chwili poważny problem w naszym

biurze w San Antonio. Jeden z moich ludzi zginął w zeszłym tygodniu i są podstawy, by przypuszczać, że odpowiedzialny za to jest jego partner.

- O cholera - wyrwało się Jude'owi. Rozejrzył się po zebranych. - Źle, kiedy nie można zaufać człowiekowi, który osłania nasze tyły.

Pokiwano głowami.

- Potrzebowałbym tam na miejscu kogoś pewnego - podjął Watson - kogoś, kto dyskretnie wszystko posprawdza. Przeglądałem twoją kartotekę, Jude, i wiem, że przez parę lat brałeś udział w tajnych operacjach.

- Zgadza się.

- No, a poza tym pochodzisz z Teksasu.

- Trudno zaprzeczyć.

- Odkryłem również, że twoja rodzina jest w Teksasie dobrze znana.

- Jest nas tam po prostu dosyć sporo.

- No i z różnych tych powodów dobrze byś pasował do naszej akcji.

Jude skinął głową i czekał, co będzie dalej.

- A sprawa tak się przedstawia: od kilku miesięcy obserwowaliśmy na miejscu niejakich Pattersonów. Prowadzą rodzinny biznes importowo-eksportowy. Podejrzewamy, że przy okazji szmuglują różne rzeczy do Stanów Zjednoczonych, w tym narkotyki. Gregg, nasz człowiek, ten co zginął, zbierał dowody, które pozwoliłyby Pattersonów wsadzić za kratki. Dziś jesteśmy prawie pewni, że ta rodzinka przy okazji skorumpowała nam jednego czy nawet dwóch

agentów. I chyba dlatego zawsze są krok przed nami, gdy podejmujemy przeciwko nim jakieś kroki. Pattersonowie zrobili się tak bezczelni, że naskarżyli naszej centrali, iż „jacyś lokalni agenci nękają ich, uczciwych ludzi”.

Watson przerwał i nalał sobie wody mineralnej z dzbanka stojącego na stole. Wypił kilka łyków, po czym kontynuował.

- Na dwa dni przed swoją śmiercią Gregg zwrócił się do mnie z pominięciem normalnej drogi służbowej. Zadzwonił i powiedział, że podejrzewa o przecieki swoich kolegów. Bardzo przykra sprawa... - Watson westchnął. - Nie zareagowałem natychmiast i skutek jest, jaki jest. Człowiek zginął w zaaranżowanym wypadku drogowym.

- Ktoś wykrył ten jego kontakt z centralą - pomyślał na głos Jude.

- Prawdopodobnie. Ale my musimy być sprytniejsi niż oni. Jak dotąd udajemy, że nie daliśmy wiary Greggowi. Nasi ludzie w San Antonio nie podejmują żadnego śledztwa w sprawie wypadku. Cóż, kraksa jak kraksa... Niech Pattersonowie myślą, że znowu im się upiekło.

Jude zmarszczył czoło.

- No a jak ja miałbym wejść w tę sprawę?

- Przede wszystkim dyskretnie. John, Hal i Ruth pochodzą z Wirginii i będą cię osłaniali. Nikt ich tam na miejscu nie zna. Rzecz najważniejsza to zbliżyć się do Pattersonów... Wiem, że dasz sobie radę, Jude. Był z ciebie niezły tajniak przez parę lat. - Watson się uśmiechnął. - Jackie zgodziła się oddelegować cię do tej roboty na jakiś czas.

Jude poskrobał się po policzku.

- Czy ja wiem... Trochę wyszedłem z wprawy.

- Nie opowiadaj. Tutaj liczy się talent. Jedni go na zawsze mają, inni nie mają. Ty masz.

Przy stole zapadło milczenie.

Jude odchrząknął.

- No to uściślijmy - powiedział. - Miałbym się zjawić w San Antonio, zbliżyć do Pattersonów i zdobyć dowody na ich nielegalną działalność.

-Tak.

- Uhm. Ale jak podejść tych łobuzów? Ma pan już jakiś pomysł?

- Chyba mam. Członkinią rodziny jest dwudziestopięcioletnia dziewczyna i tak się składa, że wciąż wolna. Chcielibyśmy, żebyś poznał tę pannę i zaczął z nią kręcić. Będziecie ze sobą chodzić, co rodzina uzna za naturalne i nie będzie cię o nic podejrzewać.

- Mam zacząć *kręcić*?

- No właśnie.

- A co będzie, jeśli ona mnie nie zechce?

- O, z twoim urokiem, dobrą prezencją i tą dodatkową zaletą, że pochodzisz ze znanej teksańskiej rodziny, myślę, że ona cię jednak zechce. Postarasz się być dla niej zresztą miły. Im częściej się będziecie widywali, tym lepiej.

Jude spojrzał na Jackie i na pozostałą trójkę. Zauważył, że Ruth wygląda na rozbawioną. Wzruszył ramionami.

- Może i mam kwalifikacje tajnego agenta, ale już z tym urokiem i prezencją to pan przesadził. No i nie jestem typem kobieciarza.

Watson zabębnił palcami po stole.

- To szybko się tego naucz, chłopcze, bo to będzie twój główny kamuflaż. - Odczekał moment. - A poza tym już wynajęliśmy spory dom, tam na miejscu, gdzie zamieszkacie wszyscy we czworo. Jest to posesja ogrodzona i dobrze strzeżona.

Jude pilnie wpatrywał się w swoje ręce.

- Czyli miałbym zagrać playboya?

- Właśnie tak, playboya. Faceta, który ma świetny wóz, za dużo czasu, dziewczyny na zawołanie i, hm, jakieś tam zainteresowania artystyczne.

Jude wyprostował się w krześle.

- Artystyczne? Co to za żarty?

- Żadne żarty. Carina, ta dziewczyna, jest pianistką. Trzy lata studiowała w Juilliard. Przerwała naukę, kiedy jej ojcu zaczęło się gorzej powodzić. Ale podejmie studia, o ile wiemy, za rok czy dwa. Tak więc musisz się skupić zwłaszcza na muzyce, bywać na koncertach i wspierać finansowo wartość tego przedsięwzięcia. Bez tego nie zbliżysz się do Pattersonówny. A my jej rodzinki nie wsadzimy za kraty.

- Czy ona też jest uwikłana w szmugiel?

- Trudno to w tej chwili ustalić. Możliwe, że jest. Częścią twojej roboty będzie wyjaśnienie i tej sprawy. Jestem pewien, Jude, że nie zawiedziesz.

Jude zastanawiał się chwilę.

- Zdaje się, że nie mam odwrotu? - Spojrzał na szefową.
- Cóż, wobec tego... - urwał. - Postaram się zrobić, ile potrafię.

- Świetnie. - Sam zaczął się podnosić. Jude także wstał, a za nim agenci i na końcu Jackie. Watson sięgnął po tekę, z którą tu przyszedł, wyjął z niej plik dokumentów i położył je na stole. - Słuchaj, Jude - odezwał się. - Tu masz dossier wszystkich członków rodziny. Przestuduj to.

Jude sięgnął po papiery.

- To kiedy zaczynamy akcję?

Sam uśmiechnął się krzywo.

- Wczoraj?

Jude strzelił obcasami.

- Tak jest, szefie. Wczoraj. Oczywiście.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sześć miesięcy później

Zauważył ją, gdy wchodziła do sali balowej.

Carina Patterson była niewysoka. Na dzisiejszy koncert dobroczynny włożyła krótką płomiennorudą sukienkę bez rękawów, z mandarynkowym kołnierzem. Obie barwy silnie kontrastowały z jej jasną karnacją i ciemnymi włosami. Dobrane do sukienki kolor szminki podkreślał zmysłowość ust. Koncert miał podreperować stan kasy podupadającej Orkiestry Symfonicznej San Antonio.

Jude doszedł do wniosku, że Carina jest w rzeczywistości o wiele ładniejsza, niż zapowiadały to fotografie z dosier. Patrzył na nią, jak podchodzi do różnych gości. Było w niej coś ujmującego i żywiołowego - w gestach, w błyszczących oczach. Kiedy ruszyła dalej przez foyer, miało się wrażenie, że tańczy. Choć żadna muzyka jeszcze nie rozbrzmiewała.

Jude trzymał się blisko baru, nasłuchując jednym uchem, o czym to gwarzy miejscowa socjeta. Popatrywał też na dekoracje sali, świadczące o zasobności miasta. Kryształą ży-

randoli miały błyski, które z kolei zapalały iskry w biżuterii pań przybyłych na koncert.

- Jude, nie wiem, jak wyrazić naszą wdzięczność - odezwał się nagle obok Graham Scott, burmistrz Sam Antonio.

- Ci artyści od dawna już potrzebowali wsparcia.

- Cieszę się, że przyszło tyle osób - odpowiedział Jude. - Z biletów, z donacji i aukcji, którą zorganizowaliście, orkiestra będzie miała środki przynajmniej na rok.

- Pański dar - zbliżył się Glenn Kingston, lokalny potentat - był najbardziej szczodry, chyba się nie mylę, Crenshaw?

- Naprawdę? - Jude uśmiechnął się. - Jakoś tego nie odczułem.

Kilka osób, słuchających tej wymiany zdań, zaśmiało się. No jasne, że Crenshaw nic nie odczuł. Należał do klanu, o którym powszechnie wiedziano, że nie jest biedny.

Jude, odkąd przybył do San Antonio, pracowicie budował swój wizerunek bogatego i zblazowanego zabawowicza. Nie pracował, jeśli nie liczyć bywania na wernisażach, koncertach, w muzeach i w drogich restauracjach. Zawsze pokazywał się z pięknymi kobietami. Zarazem nie żałował pieniędzy na cele publiczne, skutkiem czego jego twarz pojawiała się często w lokalnej prasie.

I w ten sposób ustalił swą reputację. Wpływowi obywatele San Antonio mogli mieć co do niej zastrzeżenia, jednak woleli być uprzejmi dla członka rodu Crenshawów, było to bardziej dyplomatyczne. Zapraszano go do pierwszych domów w mieście. Bywał również w ekskluzywnym klubie golfowym na obrzeżach San Antonio.

Teraz przyszła pora na ruch z jego strony.

Jude wciąż obserwował Carinę, która zmierzała przez salę balową do jednego ze stolików. Kiedy ujęła krzesło, rozpoznał, na podstawie dossier, że para, która tam już siedzi, to jej rodzice. Poczekał, aż gwar głosów wokół niego przycichł, i rzucił od niechcienia w stronę grupy:

- Kto jest ta czarnulka w czerwonej sukience?

Clint Jackson, radny miejski, odpowiedział:

- To Carina Patterson, córka Chrisa i Connie. Pattersonowie ostatnio rzadko pokazują się publicznie. Cieszę się, że ich tu widzę.

Jude udał, że przez chwilę się zastanawia.

- Ich nazwisko nic mi nie mówi. Kim oni są?

- Christopher Patterson, zanim jakiś czas temu doznał wylewu, był aktywnym członkiem lokalnej wspólnoty. Jest importerem luksusowej galanterii, antyków, mebli, marmurowych statuetek, dywanów i tak dalej. Kiedy zachorował, oddał kierowanie firmą synom, Alfredowi i Benowi.

Jude obserwował przez chwilę Pattersonów, po czym rzucił przez ramię:

- Carina jest podobna do swej matki. Obie mają w sobie coś egzotycznego.

- Connie Patterson - odezwał się znowu Clint Jackson - pochodzi ze starego rodu meksykańskiego. To rzeczywiście piękna kobieta. Wcale się nie dziwię, że podbiła serce Chrisa.

- Córce też nic nie brakuje - zauważył Jude. - Ciekawe, czy ta dziewczyna ma już kogoś?

- O ile wiem, nie - wzruszył ramionami Clint. - Ale na

wypadek, gdybyś zamierzał zrobić jakiś ruch w tę stronę, posłuchaj przyjacielskiego ostrzeżenia. Al i Ben, jej starsi bracia, mają oko na Carinę. I będą raczej niemili dla faceta, który zechciałby ją skrzywdzić, w ten czy inny sposób.

- Czy uważasz, że nie jestem na odpowiednim poziomie?

- Nic takiego nie powiedziałem. - Clint podniósł obie dłonie do góry. - W końcu należysz do rodu Crenshawów, a to się liczy. Ale w San Antonio masz opinię człowieka zabawowego. Jeśli Al i Ben uznają, że próbujesz uwieść Carinę, może być z tobą źle.

- Rozumiem, że to krewcy faceci. Trudno. Mimo wszystko prosiłbym cię, żebyś mnie przedstawił Pattersonom.

Clint poskrobał się w policzek.

- Przedstawić? Czemu nie. Widzę, że nie płoszysz się zbyt łatwo.

- Ja się w ogóle nie płoszę - powiedział Jude.

Różni ludzie zatrzymywali ich, kiedy obaj szli przez salę, i dziękowali Judebwi za szczodre wsparcie symfoników. On się uśmiechał, ścisnął ręce i sam z kolei dziękował im za przybycie na bal. Kiedy dotarli w końcu w pobliże Pattersonów, Jude zauważył, że do rodziców i córki dołączyli właśnie dwaj bracia z żonami.

Clint zatrzymał się obok krzesła ojca rodu.

- Dobry wieczór, Chris - powiedział i wyciągnął rękę. - Cieszę się, że jesteście tu dzisiaj w komplecie.

Patterson uniósł lewe ramię i uściśnął podaną dłoń.

- Też się cieszę, że tu jesteśmy - powiedział nieco chrypliwie. - Carina nas bardzo namawiała.

- Pozwól, że ci przedstawię Judea Crenshawa - skłonił się Clint. - Jest prawdziwym bohaterem dzisiejszego wieczoru, naszym dobroczyńcą. - Obrócił się ku Judebwi. - Tobie z kolei przedstawiam państwa Pattersonów, Christophera i Connie, Carinę, ich córkę, oraz synów: Alfreda z żoną Marisą i Bena z Sarą.

Całe to wydarzenie jest darem losu, pomyślał Jude. Spotkanie tutaj rodziny w komplecie warte było paromiesięcznych przygotowań oraz pieniędzy, które na szczęście szły zawsze na zbożne cele.

- Miło mi wszystkich państwa poznać - odpowiedział i po kolei ścisnął podawane ręce.

Carina spojrzała na niego.

- Dziękuję, że był pan tak szczodry dla naszych muzyków.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Patterson. - Ich oczy spotkały się, a wtedy on mrugnął do niej. Wpierw była zaskoczona, ale potem się uśmiechnęła.

Jak dotąd, wszystko idzie dobrze, pomyślał.

Kątem oka spostrzegł, że bracia Cariny bacznie mu się przyglądają, udał jednak, że nic nie widzi. Powoli odwrócił się i razem z Clintem Jacksonem ruszyli z powrotem w kierunku baru, gdzie uzupełnili swoje drinki i ze szklaneczkami w dłoniach podążyli do głównego stołu, przeznaczonego dla organizatorów dzisiejszego balu.

Kolacja była pierwszej klasy, a przemówienia na szczęście krótkie. Zagrała orkiestra, która wiązaną tanecznych melodii zachęciła zebranych do ruszenia na parkiet. Jude przepro-

sił sąsiadów przy stole, wstał i podążył ku Pattersonom. Przy ich stoliku zastał tylko Chrisa i Connie.

Skłonił się.

- Panie Patterson, czy pozwoliliby mi pan zatańczyć ze swą żoną? Obiecuję, że nie ucieknę z nią potem, choć przyznaję, że byłaby to idea kusząca.

Patterson zaśmiał się lewą połową twarzy.

- Proszę bardzo, tańczcie. Tylko niech pan pamięta, że ja mam zawsze do Connie pierwszeństwo.

Jude obrócił się ku pani Patterson, zauważając zarazem, iż ta zaróżowiła się lekko.

- Mógłbym panią prosić?

Skinęła głową i Jude podał jej rękę. Ujęła ją i z gracją wstała zza stołu. Już podczas tańca powiedziała:

- Niewątpliwie pomógł pan, aby ten wieczór się udał, panie Crenshaw. Wszyscy jesteśmy panu wdzięczni.

Uśmiechnął się do niej w podziękowaniu i rzekł:

- Proszę mi mówić Jude.

- W takim razie ja jestem Connie.

- Bardzo mi miło. Jesteś świetną tancerką, jeśli wolno mi zauważyć.

Uśmiechnęła się z lekkim odcieniem smutku.

- Chris i ja sporo tańczyliśmy, zanim on doznał wylewu. Wiem, że brakuje mu tańca tak samo jak mnie. To było uprzejme, żeś mnie poprosił.

- Wierz mi, że to dla mnie przyjemność. - Orkiestra przeszła z jednej melodii w drugą, nie zmieniając rytmu. - Czy twój mąż może pobyć sam jeszcze chwilę?

Spojrzała ku stolikowi i uśmiechnęła się.

- Nie jest już sam. Wróciła do stolika Carina.

Skończywszy taniec, wrócili tam, skąd Carina i ojciec z uwagą ich obserwowali.

Patterson odezwał się pierwszy.

- Kochanie - zwrócił się do żony - pięknie wyglądałaś na parkiecie. Korzystaj z okazji i nie martw się o mnie.

Usiadła tuż przy nim.

- Za bardzo się zdyszałam, żeby ruszać dalej w tany. - Uśmiechnęła się do Judea. - Dzięki za tego fokstrotta.

- To ja dziękuję - skłonił się Jude. Po czym przeniósł spojrzenie na Carinę. - Panno Patterson, może teraz mógłbym prosić panią?

Zerknęła ku rozpromienionej matce.

- Owszem - odpowiedziała.

Kiedy wstała, ujął ją pod rękę i poprowadził na środek sali, gdzie wziął ją w ramiona. Była niższa od matki. Głowę sięgała Judeowi tylko do ramienia. Drobnej budowy, wydała mu się figuynką z saskiej porcelany, taka była krucha i wdzięczna.

- To miłe, że poprosił pan mamę do tańca - odezwała się.
- Mama ostatnio rzadko bywa wśród ludzi.

- Wspominała mi, że kiedyś sporo tańczyli z pani ojcem.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Tak. I było na co popatrzeć, tak byli ze sobą zgrani. Ru- szali się jak jedno ciało.

Odczekał chwilę i zapytał:

- Kiedy ojciec zachorował?

- Dwa lata temu. On zawsze był taki ruchliwy i zdrowy i nikt z nas nie był przygotowany na to, co się miało wydarzyć. Przez ileś dni nie wiedzieliśmy, czy w ogóle wyżyje. Ale myślę, że w końcu jego silna wola przeważyła. Teraz, jak pan widzi, rusza się jakoś, mówi, choć pełnego zdrowia może już nigdy nie odzyska.

Znów odczekał, po czym spytał, jakby od niechcienia:

- Rozumiem, że interes ojca kręci się jednak jakoś?

- Wszystkim kierują bracia. Przedsiębiorstwo podobno się nawet rozwija.

- Tata musi być zadowolony.

- On w ogóle jest optymistą. Stara się na nic nie skarżyć. Dzielnie jeździ na tym swoim elektrycznym wózku. Na ile się da, jest samodzielny. Bardzo jesteśmy z niego dumni.

- No a jak pani? Jak z pani samodzielnością?

- Co ma pan na myśli?

- Bywa pani gdzieś sama w świecie?

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Niezbyt często.

- A gdybym ja panią gdzieś zaprosił? Co by pani powiedziała?

Wydawała się zaskoczona. Nie podnosiła oczu.

- Od razu wypatrzyłem panią w tłumie - podjął Jude. - Skłoniłem Clinta, żeby mnie przedstawił pani rodzinie i pani. Naprawdę chciałbym panią znów zobaczyć.

Skończyła się melodia i zaczęła się inna. Jude poprowadził Carinę do następnego tańca, ona zaś nie protestowała.

- Właściwie do czego pan zmierza? - zapytała z opóźnieniem.

Wybuchnął śmiechem.

- Oto pytanie z podtekstem! Ale zapewniam panią, że moje zamiary są niewinne. Pomyślałem, że moglibyśmy się wybrać któregoś wieczoru na kolację, może w najbliższą sobotę, jeśli jest pani wolna.

Odetchnęła jakby z ulgą.

- Rzeczywiście, ten pomysł nie jest szkodliwy - przyznała.

- Słowo harcerza, że nic pani przy mnie nie grozi.

Zaimprovizował kilka piruetów, a ona znakomicie sprostała jego ruchom.

- Świetnie pan prowadzi - powiedziała z uśmiechem.

- Dzięki. Moja mama byłaby dumna, słysząc jak pani to mówi. Nie byłem najlepszym jej uczniem, ale jakoś sobie radziłem.

Odrzuciła głowę do tyłu i spytała:

- Jest pan może muzykiem? Ma pan naturalne wycucie rytmu.

Zaśmiał się.

- Nie jestem, niestety. Jedyнным instrumentem, na którym gram, jest radio.

Westchnęła.

- A mimo to pomaga pan muzyce - zauważyła.

- Nie jestem także księdzem, a bywam w kościele...

Roześmiała się, z całym glissandem dźwięcznych tonów.

- Nieźle powiedziane.

Skończyła się melodia. Orkiestra ogłosiła kwadrans przerwy. Jude ucałował dłoń Cariny i powiedział:

- Nie dałaby mi pani swego telefonu? Zadzwoiłbym za dzień czy dwa.

Sięgnęła do małej saszetki, uczepionej przegubu.

- Proszę, tu jest moja wizytówka. Jest tam telefon domowy i komórkowy. W soboty jestem zwykle u rodziców, wobec tego tam musiałby pan po mnie wpaść.

-I tak zrobię - powiedział. Po czym ujął Carinę pod ramię i odprowadził ją do stolika. Kiedy siadała, nachylił się do jej ucha. - Bardzo chcę się z panią znowu zobaczyć. - Wyprostował się i spojrzał w stronę Chrisa i Connie. - Miło mi było wszystkich państwa poznać. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Odpowiedzieli mu grzecznymi słowami, a wtedy on pożegnał się i odszedł. Wkrótce też postanowił wracać do domu.

Pośpiesznie żegnał się z ludźmi, idąc na parking. Wsiadł do swego sportowego auta i po paru meandrach w obrębie śródmieścia znalazł się na obwodnicy San Antonio. Tu wybrał kierunek północny. Dom, który wynajęła Agencja, ulokowany był na nieodległych wzgórzach, z piękną panoramą otwierającą się na Hill Country.

Mógłby pojechać również na swe rodzinne ranczo, ale to byłoby o wiele dalej. Tęsknił za bliskimi, jednak odwiedzał ich rzadko. Wybaczano mu to; rodzice wiedzieli, że praca, którą wykonuje, wymaga pełnego zaangażowania i dyspozycyjności.

Jude skręcił z obwodnicy i wąską serpentyną dojechał

przed bramę posiadłości otoczonej prawie dwumetrowym murem. Wystukał na pilocie sześciocyfrowy kod i poczekał, aż brama się otworzy. Potem ruszył dalej, wśród szpaleru drzew, aż do zespołu garaży. Parkując zauważył, że wozy pozostałych agentów są już na miejscu. Czyli, że oni sami też są na miejscu i być może nawet już śpią.

Wszedł do domu, mijając stanowisko monitoringu, z zespołem ekranów ukazujących sytuację w różnych zakątkach posiadłości. Do tego pomieszczenia przylegała komputerownia i centrala telefoniczna. Jude zatrzymał się w centrali i podniósł słuchawkę, wstukując w klawiaturę skomplikowany numer. Uzyskawszy połączenie, bez żadnych wstępów powiedział:

- Kontakt nawiązałem dziś wieczorem. Wygląda na to, że akcja się zaczyna.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jude usiadł przy komputerze zawierającym dane o Pattersonach. Mając dostęp do informacji, wiedział prawdopodobnie więcej o każdym z członków rodu, niż oni sami o sobie.

Wiedział, że czterdziestodwuletni Alfredo de la Cruz Patterson trzyma w Houston kochankę, wynajmując dla niej luksusowy apartament.

Wiedział, że Benito spędza większość czasu za granicą, sprzedając jakoby i kupując towary. Jude zamierzał ustalić, co tu się dokładnie kupuje i od kogo.

Miał nadzieję, że ostatecznie tylko bracia są uwikłani w szmugiel, reszta rodziny zaś nie wie, co się dzieje. Byłby to wielki wstyd, gdyby trzeba było zaarrestować Christophera Pattersona za pomoc w przestępstwie i utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości.

Jude wstał i przeciągnął się. Zgasił światło i poszedł do siebie na górę, zadowolony z tego, co udało mu się dotąd osiągnąć. Kontakt jest więc nawiązany i więcej, Carina przyjęła jego zaproszenie do wspólnego spędzenia wieczoru.

We czwartek rano Carina spotkała się w jednej z kawiarni ze swą bratową, Marisą.

- Dzięki, że dałaś się wyciągnąć - powitała ją Marisa. - Muszę porozmawiać z kimś, komu ufam.

- Nowe kłopoty z Alem? - Carina przysunęła sobie filiżankę.

- Zgadłś. Ale teraz jest naprawdę źle. Zaczynam już myśleć o rozwodzie.

- Co się stało?

- On od paru miesięcy mnie nie zauważa, co samo w sobie jest trudne do zniesienia, teraz jednak odwrócił się też od dzieci. Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak do niego lgną, a on je zbywa, odpycha.

Sześciolatek dziś Chris był pierwszym wnukiem w rodzie (dlatego dostał imię po dziadku). Jego siostrzyczka, Tina Maria, była czterolatka. Carina kochała tę parę, podobnie jak kochała córeczkę Bena i Sary, Beth. Wszystkie dzieciaki były żywe i niesforne i na pewno potrzebowały opieki dwojga rodziców.

- Myślę, że w jego życiu jest inna kobieta - powiedziała przyciszonym głosem Marisa.

- E, niemożliwe - wzruszyła ramionami Carina. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo ciągle go teraz nie ma w domu. Twierdzi, że podróżuje „w sprawach handlowych”, ale ja wiem od Sary, że większość zakupów dla firmy robi Ben. Pomyślałam, żeby wynająć prywatnego detektywa.

- Bądź ostrożna - powiedziała Carina. - Alfredo jest

porywczy. Nie chciałabym, żeby cię w jakikolwiek sposób skrzywdził.

- Mówiłam mu wczoraj o rozwodzie. Ale tylko się zaśmiał i zapytał, czy próbuję na nim wymóc pozwolenie na większe wydatki domowe. On mnie nie traktuje poważnie.

- No a co zrobisz, gdyby rzeczywiście kogoś miał?

Marisa westchnęła.

- Uznam, że przegrałam to małżeństwo. Zabiorę dzieci i odejdę. Moja matka od dawna chce, żeby pojechać do niej do Dallas, więc może na początek ruszymy tam.

- Życzę ci jak najlepiej, wiesz. W ogóle mam nieczyste sumienie, że kiedyś poznałam cię z Alem.

Marisa uśmiechnęła się; był to jej pierwszy uśmiech tego poranka.

- Hej, przecież nie zmuszałaś mnie do ślubu. Wysłałam za niego z własnej woli. - Dziobnęła widelczykiem ciasto na talerzu. - Przepraszam, że ci to wszystko zrzucam na głowę. W końcu jesteś siostrą Alfreda. Nie chcę, żebyś się poczuła między młotem i kowadłem.

- Nie bądź niemądra. Ty i ja przyjaźnimy się przecież od średniej szkoły. I nic nas nie poróżni, nawet twój rozwód z moim bratem.

- Na razie nic nikomu nie mów, póki się ostatecznie nie zdecyduję. Pojadę teraz do matki, na razie w ramach wakacji. I zobaczymy, co dalej. W razie czego Chris zacznie chodzić do szkoły już tam, w Dallas, nie tutaj.

- Zrobisz to, co dla ciebie najlepsze, Marisa. Pamiętaj, że jestem po twojej stronie. - Carina rozejrzała się, nim zaczęła

mówić dalej. - Żadna z nas nie ma zdaje się za wiele szczęścia do mężczyzn, prawda?

- No, ale Danny przynajmniej cię kochał.

- Kochał? Tej nocy, kiedy zginął, był z inną kobietą. Ja, głupia, myślałam, że jemu zależy na mnie, a w rzeczywistości szło mu o to, że jestem z Pattersonów. Al nie dałby mu pracy, gdyby nie to, że mnie na nim zależało.

- Tak myślisz? Cóż, mężczyźni to w ogóle kanalie i my jesteśmy zawsze lepsze od nich. - Marisa wypowiedziała to zdanie tonem możliwie neutralnym i z obojętnym wyrazem twarzy.

Carina zaśmiała się, a bratowa zaraz jej zawtórowała. Kiedy zmiotły z talerzyków ciasto i zamówiły jeszcze po kawie, Carina odezwała się:

- Pewnie to nie najlepsza pora, by o tym wspominać, ale wiedz, że mam w tę sobotę randkę z Jude'em Crenshawem.

Marisa znieruchomiła. Filiżankę, którą niosła do ust, odstawiła z powrotem na spodeczek.

- No nie. I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- No, jakoś tak... Wiesz, poznaliśmy się podczas tego balu dobroczynnego.

- Aha. A więc Jude Crenshaw... Jeden z najbardziej wziętych facetów w tym mieście. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, ile on serc złamał.

Carina wzruszyła ramionami.

- Mojego nie złamie. Ja się nie zamierzam angażować. Postanowiłam po prostu, że wykorzystam tę okazję, aby znów wrócić do ludzi. Niech zobaczą, że moja żałoba po Danny'm jest skończona.

- Znam dwie dziewczyny, które z nim chodziły. Obie przeżyły to samo. Odbyły parę randek, było wesoło, gość był czarujący, po czym wszystko się nagle urwało. On przestał dzwonić. Bez dania racji, ot tak - Marisa strzeliła palcami.

- Po paru dniach okazywało się, że Crenshaw ma już nową panienkę... To zabawowy człowiek!

- No i dobrze. Właśnie taki mi teraz odpowiada. Czuję się nawet trochę zaskoczona, że wybrał mnie, bo chyba nie jestem w jego typie. On preferuje wysokie blondynki, tak...? Cóż, łapmy jednak to, co życie daje. Mnie ono specjalnie nie rozpieszczało, nie miałam, jak wiesz, szczęścia do chłopaków. Na poważnie byłam tylko z Danem.

- Czujesz się niedokochana.

Carina poruszyła brwiami.

- Myślisz o seksie? No, zgadłaś. I pewnie nie opierałabym się zbyt mocno, gdyby mnie pan Crenshaw zechciał uwieść.

- Ty łobuzico! - Marisa uśmiechnęła się i pogroziła palcem. Potem westchnęła. - Ale wiesz, to jest myśl. Może mnie też przydałby się na boku jakiś kochaś, skoro Alfredo o mnie nie dba?

Obie spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

Carina zmieniła temat i do końca obie dyskutowały już tylko o wczorajszym spotkaniu zarządu symfoników San Antonio, którego członkinią była też Carina - a to od momentu, gdy wróciła z Nowego Jorku po przerwanych studiach.

W którymś momencie Marisa zerknęła na zegarek.

- O rany! Muszę już lecieć do dzieci. Pamiętaj, skarbie, żebyś się odezwała zaraz po randce z Judeem. Okej?
- Jasne. - Carina zaczęła się podnosić razem z bratową.
- Ty ucałuj ode mnie swoje maluchy.
Marisa westchnęła.
- Dzięki.
Zapłaciły i ruszyły do wyjścia. Na ulicy zatrzymały się.
- Wiesz, Carina - Marisa odgarnęła sobie grzywkę - czasami wydaje mi się, że ja w ogóle nie znam Ala. Tak się zmienił. To nie jest ten sam człowiek, za którego wychodziłam za męż.
Carina uścisnęła jej ramię.
- Poobserwuj go, pomyśl. Wiem, że nie podejmiesz żadnej pochopnej decyzji. Znam cię przecież nie od dziś.

Carina ubierała się w sobotę na kolację z Judeem, zastanawiając się, jak też ten ich wieczór wypadnie. Jak będą razem wyglądali, on taki wysoki niebieskooki blondyn, i ona, mała brunetka. Przypomniało jej się, jak ostrożnie ją na balu obejmował, jakby się bał w niej coś złamać. Uśmiechnęła się: może i była niewysoka, ale krucha przecież nie była. Jako studentka nie stroniła od sal ćwiczeń, a i dziś jeszcze uprawiała tai czy oraz jogę.

Oczywiście: Jude to przystojniak. Jest też bogaty. I w ogóle ma w sobie coś z playboya. Hm, no to co? Powiedziała Marisie prawdę: nie odstrasza jej facet zabawowy. Bo jej cel jest tym razem towarzyski. Tylko tyle - i może aż tyle?

Jude zatrzymał swoje auto przed bramą posiadłości Pattersonów w Alamo Heights, na obrzeżach San Antonio. Była to dzielnica rezydencji z tradycjami. Wychylił się i nacisnął guzik domofonu. Prawie od razu dał się słyszeć głos:

- Dzień dobry i poproszę o nazwisko.
- Jude Crenshaw, do panny Cariny Patterson.

W sekundę potem zaczęły się obracać ciężkie, dwudzielne, kute wrota. Wjechał i dał się prowadzić krętej drodze, prowadzącej do domostwa. Już z daleka zauważył, że rezydencja składa się z kilku budynków i mnóstwa zieleni dookoła.

Zaparkował przed okazałym portykiem w stylu kolonialnym. Ledwie zdążył wysiąść z samochodu, otworzyły się wysokie odrzwia i na progu stanął ktoś wyglądający na ochroniarza.

- Dobry wieczór, panie Crenshaw - odezwał się mężczyzna. - Carina czeka na pana w pokoju muzycznym. Proszę pójść holem do końca.

Hol był obszerny niczym foyer w teatrze. Jude zauważył nad schodami, w partii dachowej, rodzaj naświetla: całą oszkloną kopułę.

W pokoju muzycznym Carina siedziała tyłem do wejścia. Jude cicho uchylił drzwi, stanął na progu i słuchał. Ponieważ pasją panny Patterson była klasyka, i jemu przez ostatnie miesiące wypadało interesować się czymś innym niż dotąd. Dotąd lubił country-and-western. Teraz intensywnie wgłębiał się w sonaty i tokkaty, w pianistykę i symfonię, zaczął odróżniać barok od romantyzmu, a także gorsze wykonania od lepszych. Stojąc tutaj, był niewątpliwie świadkiem niezłego wykonania... Tylko czego?

Kiedy skończyła utwór, zaczął bić brawo.

Zaskoczona, obróciła się na kręconym stołku.

- Ach, to pan, Jude. Proszę mi wybaczyć. Kiedy zacynam grać, tracę poczucie czasu. - Wstała i ruszyła w jego kierunku.

Zauważył, że jest ubrana w przewiewną sukienkę bez rękawów, dobrze dopasowaną kolorem do zielonych oczu.

- To ja przepraszam - uśmiechnął się. - Grała pani tak pięknie, że właściwie nie powinienem był hałasować. Jestem panią oczarowany... To znaczy pani gra.

Podawała mu rękę. Ujął ją swymi obiema.

- Taka mała dłoń - powiedział. - A tyle potrafi zdziałać na klawiaturze.

- W istocie, jest mała... I za mała - poruszyła brwiami. - Ledwie obejmuję oktawę. Muszę nadrabiać braki anatomiczne techniką.

Zlustrował ją szybko od stóp do głów. Żadnych innych braków anatomicznych nie ma, pomyślał z satysfakcją.

- To co, moglibyśmy już wyruszyć? - zapytał.

Wychodząc, przecięli rozległe foyer. Kiedy byli u drzwi, jak spod ziemi wyrósł ten sam ochroniarz.

- A, Helmut - skinęła głową Carina. - Jude, może przedstawię panu naszego anioła stróża, Helmuta Gregoriana. Opiekuje się nami od wielu lat, mnie samą zna od kołyski.

Jude wyciągnął rękę.

- Miło poznać.

Tamten ujął podaną dłoń w milczeniu. Widać nie należał do aniołów stróżów gadatliwych.

Wyszli i zbliżyli się do samochodu Judea. Carina zrobiła oczy:

- Nieźle ma pan tu cacko, panie Crenshaw.

- Jude. Mam na imię Jude.

Skinęła głową.

- Od dawna tym jeździsz?

Pomógł jej wsiąść, po czym obszedł samochód dookoła i ulokował się na fotelu kierowcy.

- Będzie parę latek.

- Wygląda jak nowy. Widać o niego dbasz.

Uśmiechnął się.

- Dbam o samochody. Można to poczytać za wadę.

Pojechali w stronę bramy. Kiedy znaleźli się za nią, spojrzął na Carinę i powiedział:

- Zarezerwowałem dla nas miejsca w restauracyjce na północ od San Antonio. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko dłuższej jeździe.

Poklepała tapicerkę z jasnej skóry i zachichotała.

- Żartujesz? Czymś takim mogłabym jeździć tygodniami.

- Dobrze wiedzieć. Czyli gdybym chciał cię porwać któregoś dnia na koniec świata, nie będziesz mi się opierała?

Zrobiła poważną minę. Potem się uśmiechnęła.

- Wszystko zależy od tego, po co miałbyś mnie porywać.

- Oczywiście wyłącznie w celach nikczemnych.

- A, w takim razie - zaśmiała się - o oporze nie ma mowy!

Wyciągnęła się wygodnie w swoim fotelu; wyglądała na odprężoną.

I bardzo dobrze, pomyślał Jude. Pierwsze randki bywają

trudne. Zwłaszcza gdy się je organizuje w celach wywiadowczych, z polecenia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Przez kwadrans jechali w milczeniu. Jude meandrował uliczkami, którymi kiedyś podobno gnano było przez miasto, oczywiście w zeszłym stuleciu.

Kiedy wydostali się na autostradę, Carina poprosiła:

- Opowiedz mi coś o sobie, Jude. Wiem o tobie tylko tyle, że pochodzisz z Teksasu i że jesteś z tych znanych Crenshawów.

Rozsądna prośba. Zamierzał ją spełnić, odbiegając od prawdy nie więcej, niż tego wymagała pragmatyka służbowa.

- Moje CV nie wygląda specjalnie oryginalnie - uśmiechnął się. - Nie wiem, czy cię nie znudzi. Mam trzydzieści lat. Lubię być wolny, nie wyobrażam sobie siedzenia osiem godzin za biurkiem...

- Ale gdzie się urodziłeś? - przerwała mu. - Gdzie chodziłeś do szkoły? Opowiedz mi coś o swojej rodzinie. No i dlaczego zaprosiłeś akurat mnie na kolację.

Zaśmiał się.

- To ostatnie pytanie jest najłatwiejsze. Zaprosiłem cię, bo mi wpadłaś w oko i chciałem cię lepiej poznać. A poza tym... - poruszył brwiami i pomyślał, że się z nią trochę podrażni - .. skąd ja mam to wrażenie, że przeprowadzasz ze mną wywiad? Tyle szczegółowych kwestii... Czy przeczytam o sobie jutro w gazecie?

Zmarszczyła nos.

- Jutro? Nie, jutro nie. Jutro jest niedziela. Najwcześniej mógłby to być poniedziałek.

Udał, że wzdycha.

- Szkoda, nie lubię czekać. - Spojrzał na nią. - A więc dobrze, coś o mnie. Urodziłem się w małej miejscinie, której nazwa prawdopodobnie nic ci nie powie, w New Eden, około stu mil stąd na północny wschód. Moja rodzina mieszka tam od połowy XIX wieku. Ojciec był najstarszy z czwórki braci i miał też czterech synów.

- Ho, ho. Czy jego bracia też mieli po tyle dzieci?

- Niekoniecznie. Stryj Jeffrey ma dwóch synów, Jordana i Jacksona. Stryj Josh ma trójkę: Jeremy'ego, Justina i Jamesa, a stryj Jerome... zaraz, ma także trójkę: Jeda, Jessego i Johnny'ego.

- A to ci dopiero! Wszyscy na „jot”! - Pokręciła głową. - No, ale czekaj, żadne dziewczynki nie rodzą się u was?

- Owszem. Dziadkowie miewali dziewczyny... A również mój najstarszy brat, Jake, spłodził niedawno małą panienkę, Heather.

- Brat? No to teraz opowiedz mi coś o swoich braciach.

Watson miał rację. Znana i rozgałęziona rodzina Crenshawów była czynnikiem sprzyjającym w akcji takiej jak ta.

Odchrząknął.

- Bracia... Jake ma trzydzieści cztery lata. Tylko on podtrzymuje rodzinne tradycje ranczerskie. Jest oczywiście żonaty, podobnie jak Jared, geolog z wykształcenia. A mój trzeci brat, Jason, najmłodszy, w tej chwili jest w wojsku, w Delta Force.

- A co z żoną?

- Jared nie ma żony... No i ja nie mam żony - spojrzał na

nią. - On i ja zbyt sobie cenimy wolność, przynajmniej na razie, żeby... - wykonał ręką nieokreślony gest.

Przez chwilę oboje milczeli.

Carina poruszyła się.

- A więc mówisz, że jesteś rodowitym Teksańczykiem?

- Na to wygląda. Do szkół chodziłem w New Eden, potem wzięli mnie od razu w kamasze. Zażądał tego ojciec i... lokalny szeryf.

- Szeryf? Dlaczego? Przeskrobałeś coś?

- E, nic takiego. - Wzruszył ramionami. - Byliśmy z chłopakami trochę zbyt hałaśliwi, jak nasze ciche miasteczko. Trzymały się nas figle, wiesz, za dużo piwa, jakieś rajdy środkiem głównej ulicy, przestawianie znaków drogowych... Robiliśmy z papieru toaletowego serpentyny, zarzucając je na drzewa... No i skończyło się to wygnaniem do woja. Jeszcze słyszę wyrok: Oni cię tam nauczą dyscypliny.

Uśmiechnęła się.

- Czyli był z ciebie gagatek.

Zachichotał.

- Tak jakby.

- No a w armii? Jak tam było?

Zastanowił się. Co na to odpowiedzieć?

- Wojsko to nie jest rzecz dla mnie - pokręcił głową. - Kiedy skończył się mój pobyt w jednostce, przysiągłem sobie, że już nigdy w życiu nie włożę munduru.

Było to pierwsze kłamstwo. W rzeczywistości podobało mu się w armii. Przyjęto go z czasem do komandosów z Delta Force. Zapłacono za studia, po których zdał egzamin ofi-

cerski. Prawdopodobnie piąłby się dalej po szczeblach kariery wojskowej, gdyby ABN nie złożyła mu jeszcze bardziej atrakcyjnej propozycji pracy.

- Za dużo dyscypliny, co? - zapytała Carina.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział. - Czyli teraz znasz całą moją historię. Ostrzegałem cię, że będzie nudna.

- A co cię skłoniło do przyjazdu do San Antonio?

- Nic szczególnego. Dogałdam w okolicy pewnego interesu należącego do stryja Josha. Prosił mnie o to, a ponieważ nie miałem ostatnio nic ważniejszego do roboty, zgodziłem się. To zresztą stryj Josh pokazał mi tę restauracyjkę, do której teraz jedziemy. Świetne mają tam jedzenie, a i widoki z tarasów są piękne.

Kolejne kilka mil przejechali w milczeniu. Wreszcie Jude odezwał się:

- Teraz twoja kolej. Ty mi teraz opowiedz coś o sobie.

Ciekaw był, ilu informacji Carina zechce mu udzielić.

- W porównaniu z twoim mój życiorys jest nudny naprawdę.

Uśmiechnął się, pozostawiając rzecz bez komentarza.

- Urodziłam się w San Antonio, tutaj chodziłam do szkół, studiowałam przez pewien czas w Nowym Jorku, po czym wróciłam do domu. Masz tu moje dane w pigułce.

- Nic nie mówisz o muzyce.

- O, muzyka. Ona jest po prostu częścią mnie, więc nieraz o niej zapominam. Jest jak kolor oczu albo charakter.

- Chciałabyś się poświęcić muzyce?

- Myślę, że tak. Oczywiście najpierw muszę zrobić magi-

sterium w Juilliard. Wkrótce tam wracam, wpisałam się już na semestr jesienny.

- To powodzenia. Cieszę się, że zdażyłem cię poznać, nim wyjechałaś.

Jude ciekaw był, czy Carina wspomni coś o swym byłym narzeczonym, Danielu Bowiem. Według informacji, które posiadał, Bowie zginął czternaście miesięcy temu podczas kolizji drogowej, której sprawca zbiegł i nie został do dziś odnaleziony. Policja ustaliła tylko, że w Daniela, jadącego z dużą szybkością, ktoś uderzył z boku, skutkiem czego jego auto najpierw wielokrotnie przekoziołkowało, a potem stanęło w płomieniach.

Czekał, lecz ona nie zamierzała nic dodać do swoich „danych w pigułce”.

- No a co powiesz o swoim rodzeństwie?

- Mam dwóch braci, jak wiesz. Alfredo jest starszy ode mnie o szesnaście lat, a Benito o czternaście. Obaj byli już poza domem, gdy podrosłam na tyle, by ich rozpoznawać jako członków rodziny. Al próbuje odgrywać rolę mego anioła stróża, co bywa irytujące w moim wieku. Zresztą Al jest nadopiekuńczy względem całej rodziny. Ojciec jest mu jednak wdzięczny, że przejął kierowanie firmą w krytycznym momencie.

- A czy twój brat Ben też pracuje w firmie?

- Tak. Ben jest jakby z charakteru łagodniejszy... Zajmuje się w firmie zaopatrzeniem, wciąż jest w drodze, na co skarży się jego żona Sara. Mówiłam jej, żeby jeździła po świecie z mężem, ale jej się nie chce ruszyć z domu.

- Czyli bracia są żonaci. A jakie ty masz plany? Zamierzasz założyć rodzinę?

Nie odpowiedziała od razu. W końcu wzruszyła ramionami.

- Kocham dzieci i chciałabym mieć rodzinę, ale najpierw muszę uzupełnić studia i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- A więc na razie jesteś wolnym ptakiem. Kimś takim, jak ja.

- Jak ty? Czy ja wiem... Tak naprawdę chyba nie mamy ze sobą wiele wspólnego?

Spojrzał na nią bystro, nim powrócił do obserwowania jezdni.

- Co cię skłania do takiej oceny?

- Z wszystkiego, co o tobie słyszałam, wynika, że prowadzisz bujne życie towarzyskie. Ile razy ukazuje się twoje zdjęcie w gazecie, jest przy tobie jakaś nowa dziewczyna. No, a ja się na przykład prawie z nikim nie umawiam.

- Tym bardziej doceniam, że zrobiłaś dziś wyjątek dla mnie. A co do owych wielu kobiet, to biorą się może stąd, że wciąż nie mogę znaleźć tej najwłaściwszej.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, życzę ci powodzenia w poszukiwaniach.

Nie przyszła mu do głowy żadna zgrabna riposta. Być może przesadził nieco z budowaniem tej swojej opinii playboya, wskutek czego, przez ironię losu, gotów jeszcze zniechęcić do siebie kobietę, na której mu naprawdę zależy (oczywiście operacyjnie).

Jude skręcił z autostrady i pojechał wijącą się drogą, pro-

wadzącą między wzgórze. Po krótkim czasie zaparkował przed jakąś rezydencją.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Piękne miejsce - oceniła Carina. - Ale gdzie tu restauracja?

- W środku.

- Jak to, a gdzie szyl?

Wysiedli. Jude wziął ją pod rękę.

- Szyl jest niepotrzebny - powiedział - ponieważ to lokal dla wtajemniczonych.

Spojrzała nań, z mieszaniną zdziwienia i obawy.

- Dobry wieczór, panie Crenshaw - na progu pojawił się maitre d'hotel. - Zaprowadzę państwa do waszego stolika. - I poprowadził ich na mały taras z tyłu budynku, skąd rozpościerał się piękny widok na falisty krajobraz z wąwozami. Słońce stało już nisko, ozłacając i różowiąc dalekie chmurki.

Carina zasiadła w krześle, nie mogąc oderwać oczu od panoramy.

- Och, Jude - odezwała się cicho. - Patrzenie na takie rzeczy sprawia, że czuję się uroczyście jak w kościele.

Do twarzy było jej z tym zachwytem. Piękna kobieta, pomyślał i poczuł, że jego zadanie wywiadowcze staje się tym trudniejsze, im więcej sympatii czuje dla Cariny.

Przyszedł kelner, przyjął zamówienie na potrawy i drinki i zniknął.

- Czy ta restauracja ma jakąś nazwę? - zapytała Carina.

Jude uśmiechnął się.

- Wymieniana jest w książce telefonicznej jako „Klejnot

Korony", ale bez informacji, że chodzi o lokal gastronomiczny. To naprawdę miejsce dla wtajemniczonych.

Kiedy słońce znikło za wzgórzami, kolejny raz zjawiał się kelner i zapalił grubą świecę na stoliku.

- Dobra dziś pogoda do posiedzenia na tarasie - powiedział. - Wczoraj nie było tak ładnie, mocno wiał wiatr.

Jude nie czuł nawet, jak mijały godziny. Carina była żywą rozmówczynią, inteligentną i skora do śmiechu. Naprawdę lubił ją coraz bardziej.

W drodze powrotnej głównie milczeli. Jude wsunął płytę do odtwarzacza i muzyka mówiła za nich. Była to, rzecz jasna, muzyka klasyczna, kamuflaż przecież musiał trwać nadal.

Odwiózł ją nie do rodziców, tylko do jej mieszkania. Pilotowała go przez miasto, tak że trafili bez trudu. Wszedł za nią do bloku, potem po schodach. Stanęli przed jej drzwiami. Carina przekreśliła klucz w zamku i odwróciła się do Jude'a.

- Dziękuję - powiedziała. - Dla mnie to był magiczny wieczór.

- Cieszę się. Chciałbym cię szybko znów zobaczyć.

Uśmiechnęła się.

- Jak szybko?

- Jutro... I pojutrze. I pojutrze.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Tracąc czas dla mnie, opóźniasz poszukiwania swojej idealnej partnerki.

Skrzywił się.

- Nie oceniaj mnie tak źle. Zresztą byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciała wziąć udział w naprawie mego charakteru...

Popatrzyli na siebie. W jej spojrzeniu zamigotało coś w rodzaju zachęty, więc pomyślał, że chyba ją teraz pocałuje.

I zrobił to, a Carina wcale mu się nie opierała. Zamknęła oczy i smakowali nawzajem jedno drugie, aż poczuł, że wzbiera w nim podniecenie.

Oderwał się od niej.

- Lepiej już idź - powiedział - bo nie ręczę za siebie.

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Naprawdę? W takim razie idę. - I zrobiła ruch w stronę drzwi.

Jemu nagle zrobiło się czegoś żal.

- Jutro zadzwonię, dobrze?

Zatrzymała się. Spojrzała w bok. On zaś przez krótką chwilę wstrzymywał oddech, sam o tym nie wiedząc. Wreszcie zajrzała mu w oczy.

- Czy ja wiem, zaryzykujemy - uśmiechnęła się. - To zadzwoń, będę czekała.

Pocałowała go krótko w policzek, nacisnęła klamkę i zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

John, Hal i Ruth byli razem w salonie, gdy pojawił się w nim Jude, zaparkowawszy przed chwilą auto w garażu.

- No i jak tam randka? - zapytała Ruth.

- Całkiem nieźle... A wy co, co to za uśmieški?

John wzruszył ramionami.

- A, tak jakoś nam się zebrało. Nie zwracaj na nas uwagi.

Hal odchrząknął.

- Słuchaj, namierzyliśmy dwóch facetów, na których powinienś uważać. Jeden to Ross Davies, a drugi Patrick Sullivan.

- Co to za goście?

- Czarne owce, lokalni agenci. Posiadacze zadziwiająco wielocyfrowych kont bankowych. Próbowali to jakoś ukryć przez centralą, ale wiesz, jaki dociekliwy bywa Schilling z Finansowego. No, więc on ich niedawno przyszpilił.

-I wiadomo już, skąd mają tę forszę?

- Jeszcze nie, ale i to się ustali.

- Ja - dodała Ruth - nakryłam ich obu na kontakcie z Alem Pattersonem.

- Kiedy wejdiesz już między tę rodzinę, może usłyszysz coś o nich - odezwał się John.

- A jak sama Carina? - zapytała Ruth. - Wyciągnąłeś od niej jakieś informacje, których nie mieliśmy?

- Jeszcze nie. Ale pracuję nad tym.

Hal uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli trudno ci ją oczarować, może ja cię zlużuję?

Jude nic nie odrzekł zarozumialcowi, wykonał tylko powiew nieprzyzwoity gest, po którym cała trójka się zaśmiała.

- Właściwie jakie to uczucie - zapytał Hal - zalecać się do podejrzanej?

Jude westchnął. Co za uparty gość.

- W ogóle jest tutaj dziwnie, uwierz, chłopie. - Spojrzał na Johna, potem na Ruth. - Szczególnie dziwnie czułem się, pracując nad swoją reputacją playboya. Przez całe życie nie poznałem tyłu dziewczyn, co przez ostatnie parę miesięcy.

- Oj, biedaczek - Ruth zrobiła komiczną minę.

Jude nie mógł się nie uśmiechnąć. Zaraz jednak spoważniał.

- Tak, dla mnie to była praca. Ale nie uchylam się od żadnej roboty, jeśli może to posłużyć bezpieczeństwu kraju.

Ruth wstała i powiedziała:

- Zrobiło się nieznośnie patetycznie. Poza tym jest późno. W takim razie cześć, chłopaki, ja idę spać. - Spojrzała na Hala. - A ty o której rano ruszasz?

- Około dziewiątej.

- Aha, no dobra. To jeszcze raz dobranoc wszystkim. - Pomachała ręką i ruszyła w stronę drzwi.

Jude przeciągnął się i ziewnął.

- Też chyba pójść spać. Muszę jeszcze przemyśleć gryplan na jutro, co będę robił z Carina.

- O Carino, o dziewczyno, jedyna-a moja... - zanucił nagle Hal.

Jude zignorował tę zaczepkę. Wiedział, że jego gra z Pattersonówną wymaga wielkiej ostrożności. Dziewczyna jest inteligentna, wrażliwa, a być może niewinna. Trzeba tak działać, żeby ją możliwie mało skrzywdzić. Jak to osiągnąć, jak się w ogóle poruszać w tutejszym labiryncie?

Jude odczekał do następnego popołudnia, zanim zadzwonił na komórkę Cariny. Kiedy odebrała, zorientował się, że musi być poza domem. Odgłosy tła wskazywały, że jest chyba na jakimś przyjęciu. A niech to.

- Tu Carina.

- Cześć, mówi Jude. Może zadzwoniłem nie w porę?

- O, cześć! Wcale nie byłam pewna, czy się odezwiesz.

- Jeśli jesteś zajęta...

Zaśmiała się.

- Wcale nie jestem zajęta. Mamy tylko taki zwyczaj, że bracia z żonami i dziećmi, no i ja spotykamy się w niedziele na obiadkach u rodziców. Bywa z tego spory rejwach, który pewnie właśnie słyszysz.

- Aha. Wobec tego miałbym propozycję. Może pojechałabyś ze mną na małą wycieczkę? Moglibyśmy pojechać za Banderę, do Parku Narodowego Lost Maples, a w drodze powrotnej zatrzymalibyśmy się gdzieś, żeby coś zjeść. Masz chęć?

Ponieważ nie od razu zareagowała, zaczęło mu się wydawać, że zechce mu odmówić. Czekał w napięciu.

- Dobrze, jedźmy - odrzekła wreszcie z wyczuwalnym uśmiechem. - Dawno nie byłam w tamtych stronach.

- Ani ja, dlatego pomyślałem, że wyprawa do tych malowniczych zakątków może być przyjemna. Kiedy chcesz, żebym wpadł po ciebie?

- Och, może za jakieś pół godziny?

- Tak szybko nie zdążę.

- Dlaczego? A właściwie gdzie ty mieszkasz?

- Ja? Trochę na północ od miasta. Zaproszę cię kiedyś do siebie. Dasz się zaprosić?

Chyba wstrzymała oddech, takie miał wrażenie.

- Kiedyś, kto wie - odezwała się cicho.

Pomyślał, że sprawy idą jednak w dobrym kierunku.

- No, to ja zaraz ruszam - powiedział.

Carina czekała na niego na zewnątrz domu. Szkoda, pomyślał, przekreśla to szansę zobaczenia reszty rodziny Pattersonów. Nim zdążył wysiąść z samochodu, ona już chwyciła za klamkę po stronie pasażera, otworzyła drzwi i wślizgnęła się na swoje miejsce.

- Cześć - powitała ją i zlustrował szybkim spojrzeniem. Była w jasnobrązowych spodniach i w szafirowej bluzce bez rękawów, z marszczonym karczkiem.

Uśmiechnęła się do niego.

- Może się wydawać, że chcę stąd jak najszybciej odjechać, ale to dlatego, że tak właśnie jest.

- O! Sam bym tego nie zgadł - zaczął uruchamiać silnik.

Zaśmiała się.

- Serdecznie kocham moją rodzinę, ale czasami poziom hałasu podczas niedzielnych obiadów jest ponad moją wytrzymałość.

- Może to kwestia muzycznego ucha.

- Właśnie - zgodziła się, wyciągając się w swoim fotelu.

- Poza tym ci bracia... Obaj próbują mi ojcować.

- Nie chcieli cię dziś puścić?

- W każdym razie wypytywali, gdzie jadę, kiedy wrócę.

Jakbym była jakąś smarkulą.

- Chyba powiedziałaś im, że Jude Crenshaw to osobnik nieszkodliwy?

Spojrzała z ukosa.

- Nieszkodliwy? W to nikt nie uwierzy.

- Nie rozumiem. - Pokręcił głową. - W co nikt nie uwierzy? Ty nie czujesz się przy mnie bezpieczna?

- Całkiem bezpieczna to ja będę dopiero wtedy, kiedy swoim zwyczajem po paru randkach mnie porzucisz.

- Carina! Ty robisz ze mnie jakiegoś łobuza?

- Wcale nie. Po prostu taką masz opinię: przystojniaka z dobrej rodziny, faceta, który nie musi pracować i na którego lecą wszystkie baby.

- Ale mi dopiekasz... Wygląda na to, że miałaś w życiu złe doświadczenia z mężczyznami.

Nie odpowiedziała od razu. Wreszcie poruszyła się.

- Kiedyś byłam zaręczona... - Westchnęła. - Chłopaka poznałam w szkole, zaczęliśmy się spotykać. Danny stał się moim najlepszym przyjacielem. Kiedy przerwałam studia,

po wypadku ojca, on był moim głównym oparciem. I było całkiem naturalne, że wkrótce zaręczyliśmy się.

Jude przyhamował, bo osiągnęli właśnie piękny punkt widokowy. Zjechał na pobocze, wyłączył silnik i odpiął swój pas bezpieczeństwa. Obrócił się ku Carinie.

- Opowiedz mi po kolei, jak to właściwie było.

Spojrzała w bok, przechylając głowę, jakby oceniała panoramę.

- Nagle moje życie się rozleciało - powiedziała cicho. - Ktoregoś dnia Al zadzwonił z wiadomością, że Danny zginął w wypadku drogowym, tuż pod miastem. Strasznie to przeżyłam... A jakby tego było mało, dowiedziałam się, że był w tym czasie z jakąś kobietą.

Jude spojrzał zaskoczony. Czytał raport z tego wypadku, ale nie było tam wzmianki o kobiecie. Widział zdjęcia z miejsca zdarzenia, z których wynikało, że Daniel Bowie zginął sam.

- Współczuję ci - dotknął jej ramienia. - Bardzo mi cię żal. O mało co nie straciłaś ojca, a potem zaraz straciłaś chłopaka. - Spojrzał na jej rękę, mocno zaciśniętą na podołku. - Udało ci się dowiedzieć, kim była ta kobieta?

Pokręciła głową.

- Nie. Przypadkowo tylko podsłuchałam, jak Al i Ben rozmawiają o Danny'm i że on widywał ją w Weslaco. No i że nie było to w porządku wobec mnie. Weszłam do pokoju i zażądałam całej prawdy, ale nic więcej z nich nie wydobyłam.

Postanowił, że jeszcze raz przejrzy dokumenty dotyczące tej sprawy. Jeśli historię z kochanką Bowiego zmyślili po

prostu obaj bracia, jaki mogli mieć w tym interes? Przecież w ten sposób dodatkowo ranili i tak już zranioną siostrę!

Jude ujął rękę Cariny, położył ją na swojej dłoni i zaczął rozprostowywać jej palce. Głaskał każdy z nich po kolei.

- Jaka ja byłam głupia - odezwała się cicho. - Byłam ślepa i naiwna. On mnie zdradzał, a ja tak mu ufałam...

Siedzieli tak, dopóki Carina nie otrząsnęła się ze swych wspomnień. Na koniec westchnęła:

- Dostyc tego. Wspominanie dawnych miłości zawsze psuje nastrój... Ale może ty masz w tej mierze wesołe doświadczenia?

Kiedy zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zaczerwieniła się.

- Nie, nie, nic nie mów. W każdym razie nie dziś, nie teraz.

Uniósł rękę do góry, jakby miał przysięgać.

- Bo i nie byłoby o czym mówić. W moim życiu nie ma żadnych „dawnych miłości”. Po prostu z nikim się dotąd nie związałem na poważnie. Może to wynika z mojego charakteru. - Wzruszył ramionami.

Pomyślał, że wypowiedział dosyć pożyteczną kwestię. Przypomniał Carinie, że jest „człowiekiem zabawy”. To powinno pomóc jej zachować dystans wobec niego. Byłoby źle, gdyby się z czasem zaangażowała i znów poczuła zdradzoną, gdy nadejdzie koniec akcji „Pattersonowie”, a taki koniec przecież nadejdzie.

Otworzył drzwiczki auta i zaproponował, żeby się może trochę spacerowali.

- Okolica jest tego warta - uśmiechnął się do niej.

Podczas przechadzki opowiadał jej różne historyjki ze swego dzieciństwa, dookoła śpiewały ptaki, Carina zaczęła im gwizdać do wtóru, on miał okazję jeszcze raz pochwalić jej muzykalność; słowem było coraz pogodniej i bardziej przyjacielsko.

Kiedy wrócili do San Antonio, oboje byli w bardzo dobrych humorach. Znow odprowadził ją pod same drzwi.

- Dziękuję ci za to popołudnie - powiedział. - Bez ciebie spędziłbym je o wiele mniej sensownie.

- Miły jesteś. W ogóle dwuznaczne opinie na twój temat są chyba przesadzone. Naprawdę sympatyczny z ciebie facet.

Wiedziony impulsem objął ją i ni stąd, ni zowąd uniósł nad ziemię. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, czym prędzej ją postawił.

- Bardzo przepraszam, nie chciałem - powiedział. - I może w ogóle już lepiej pójdę? Bo popsuję sobie w twoich oczach moją nagle poprawioną opinię.

Figlarnie zmarszczyła nos.

- A buzi, na pożegnanie?

Zacisnął usta, wykonując ręką ruch przekręcania kluczyka.

- Nie, żadnego całowania dziś nie będzie. Nie chcę sobie popsuć mojej dobrej opinii.

Zaśmiała się cicho.

- W takim razie pa, świętoszku.

Pomachała mu ręką, nacisnęła kławkę i zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W następny piątek wieczorem Jude stał przed lustrem w łazience i złościł się. Nienawidził krawatów. Chyba sam diabeł je wymyślił. Starał się uformować jakiś porządny węzeł, ale wciąż bez skutku.

- O żeż ty - zamruczał, po raz któryś rozplątując jedwabną materię.

Był w ciemnoszarych spodniach od jednego ze swych garniturów i w białej koszuli z mankietami na spinki. Szykował się do kolejnego spotkania z Carina.

Widział ją w tym tygodniu już dwa razy; ona najwyraźniej polubiła jego towarzystwo. On ją też coraz bardziej lubił, jednak każde spotkanie z nią było powodem do napięcia. Również z tego powodu, że kpinki trójki agentów nie ustawały.

Co do Cariny - piękna z niej była kobieta, niewątpliwie. Judebwi coraz trudniej przychodziło w jej bliskości utrzymać zmysły na wodzy. Tym bardziej że panna Patterson wysyłała pewne kusicielskie sygnały. Jednakże w poleceniu służbowym z Agencji nie było mowy o pracy w łóżku, zatem ten wątek był wykluczony.

Zarazem powrócili do pocałunków na pożegnanie. Te-

go nie mógł jej odmówić, ba, tego nie mógł odmówić sobie. Skutek był taki, że wracał z kolejnych randek coraz bardziej rozgrzany, idąc prosto pod zimny prysznic, ale z niewielką nadzieją na to, że to coś pomoże.

Zaczął się przed spotkaniami silnie stresować; dziś dodatkowym powodem frustracji był ten nieszczęsny krawat.

Właśnie uporał się jakoś z jedwabnym węzłem, gdy zadzwoniła jego komórka.

Sięgnął po aparat.

- Crenshaw - mruknął.

Zaskoczył go znajomy głos męski.

- Cześć, braciszku - powiedział ów głos. - Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie, bo zjawił się na świecie jeszcze jeden Crenshaw, parę godzin temu; waży cztery kilo z kawałkiem i ma bardzo silne płuca.

Jude uśmiechnął się, pierwszy raz tego dnia, i przysiadł na wannie.

- Gratuluję ci, Jake - powiedział. - To piękna wiadomość. A jak się ma Ashley?

- Wszystko w porządku. Upiera się tylko przy złamaniu tradycji rodzinnej imion na „jot”. Chce małemu dać Ken, po swoim ojcu.

Jude poskrobał się w głowę.

- To może niech będą dwa imiona?

Jake zaśmiał się.

- Też o czymś takim pomyślałem... Ale słuchaj no, bracie, przy okazji... Kiedy do nas wpadniesz? Wiem, że masz te swoje różne misje, ale...

- No właśnie, mam - westchnął Jude. - Ale będę się starał jak najprędzej stąd wyrwać, Jake. Zadzwoń.

- No to czekamy. Najmłodszy Crenshaw też czeka.

- Zadzwoń - powtórzył Jude i zamknął aparat.

Zajrzał jeszcze raz do lustra, potem chwycił marynarkę i ruszył do wyjścia.

W saloniku na dole zastał Johna, Hala i Ruth oglądających właśnie jakiś film z kablówki. Nagle im pozazdrościł.

Ruth uniosła głowę i cicho gwizdnęła.

- Cóż my tutaj widzimy! Francja elegancja. Dokąd to dzisiaj, piękny panie?

Pozostała dwójka też podniosła głowy. Trudno, trzeba było im powiedzieć prawdę.

- Idę z Carina na balet.

- Balet! - Hal klepnął się w kolano. - No nie, chłopie, ty masz coraz lepsze pomysły.

- Hal - zmarszczyła się Ruth - daj spokój. Ja tam lubię balet.

Jude westchnął.

- Gdyby się dało - powiedział - wolałbym, żebyś mnie dziś zastąpiła.

Wszyscy roześmiali się na ten koncept, po czym Jude ruszył na dół, do garażu.

Jedną z przyjemniejszych stron jego misji było to, że w trakcie jej pełnienia wolno mu było używać własnego samochodu.

I teraz jechał już swoim wypieszczonym porsche drogą wijącą się przez Hill Country, z minuty na minutę bardziej odprężony, nawet pogwizdując.

Znalazłszy się pod drzwiami Cariny, sprawdził godzinę na zegarku. O dziwo, przyjechał sporo za wcześnie. Jednak to szybki wóz, ten porsche.

Otworzyła mu nie całkiem ubrana, jeszcze w szlafroku z miękkiego połyskującego jedwabiu, zmysłowo podkreślającego jej okrągłości. Omal nie jęknął, widząc tyle zachęcającego piękna.

- Przepraszam... - zaczął, pozerając ją wzrokiem. - Przepraszam, że tak wcześnie, ale... Ale widać spieszyło mi się do ciebie.

Uśmiechnęła się lekko.

- Wchodź - pociągnęła go za rękę. - I rozgość się. Ja za chwilę będę gotowa.

Zniknęła w swej garderobie, on zaś rozejrzał się po pokoju. Hal zrobił wcześniej dyskretne przeszukanie jej mieszkania, gdy raz była na spotkaniu z Judeem. Nie znalazł nic podejrzanego. Nie znalazł zresztą w ogóle nic, co by mogło wskazywać na jakiegokolwiek związku z przedsiębiorstwem rodzinnym.

I co teraz? Możliwe, że należało Carinę wyłączyć ze śledztwa. Zarazem była ona jednak pożytecznym łącznikiem z rodziną Pattersonów...

Jude poskrobał się w głowę. Niełatwo się pracuje w służbach specjalnych. Niełatwo tu o właściwą ocenę sytuacji oraz zachowanie czystego sumienia.

Carina wyłoniła się z garderoby w czarnej sukience i w szpilkach oraz z rozpuszczonymi włosami. Jude zdecydował, że jest obiektywnie zniewalająca.

Wstał.

- To co, jesteśmy gotowi?

Złapała małą torebkę, leżącą na podręcznym stoliku.

- Gotowi. Jedźmy.

Kiedy wyszli z mieszkania, wyjął jej z ręki klucze i sam dokładnie zamknął drzwi.

- Nie założyłaś alarmu - stwierdził z odcieniem pretensji, myśląc o wizycie Hala. Co prawda wiedział, że dla profesjonalistów nie ma zamków nie do otwarcia. Ale dobre zabezpieczenie odstrasza włamywaczy-amatorów.

W samochodzie milczeli. Aż Carina zapytała:

- Wydajesz się dziś niezwykle cichy. Czy coś się stało?

Wyrwany z zamyślenia, szybko odpowiedział:

- Nie, nic.

Nic się nie stało, ale zaraz się stanie, przeleciało mu przez głowę. Jadą przecież na ten nieszczęsny balet, czyli mają przed sobą dwie godziny gwarantowanej nudy.

- A właściwie - spojrzał na Carinę - właściwie to miałem tuż przed wyjściem miłą wiadomość... Jake zadzwonił, że urodził mu się syn.

- Syn! - uśmiechnęła się. - Jake to, zdaje się, twój najstarszy brat?

- Zgadza się.

- A jego żona nazywa się... niestety, zapomniałam.

- Ashley. Wychowała się na ranczu i dobrze pasuje do Jake'a.

Pokonali ostry zakręt, a potem Carina powiedziała:

- Skoro już o sprawach rodzinnych mowa... Jutro Al urządza piknik u siebie w ogrodzie. Nie zechciałbyś ze mną pojechać?

Poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Jasne! To jest to, na co od dawna czekał.

- Czemu nie - powiedział. - O której początek?

- O drugiej. Ale grillowanie chyba dopiero około piątej. Wcześniej przewidziane jest pływanie, bo oni mają wielki basen. Nie zapomnij zabrać kąpielówek.

Zakonotował sobie w pamięci, że jutro trzeba zdobyć kąpielówki. Może jakieś w stylu obciętych džinsów?

W teatrze Jude od razu przybrał pozę relaksową. Wsunął się głębiej w fotel, wyciągnął przed siebie nogi i splótł ręce na brzuchu.

Carina nachyliła się do jego ucha.

- Ty może na tym już byłeś?

Spojrzał ukosem.

- Nadeszła chwila prawdy, zdaje się... Nie byłem. W życiu na żadnym balecie nie byłem.

Zrobiła wielkie oczy.

- Na żadnym? Jak to?

- Zwyczajnie. Nie byłem.

W zdumieniu pokręciła głową.

- Jest pan pełen zagadek, panie Crenshaw.

Zaczęły gasnąć światła.

Orkiestra zagrała uwerturę.

Gdzieś pod koniec ostatniego aktu poczuł, że Carina go trąca. Otworzył oczy i zrozumiał, że po prostu zasnął.

- Przepraszam. - Podciągnął się w fotelu. - Miałem dzisiaj dosyć ciężki dzień.

Kiedy przedstawienie się skończyło, z zapalem zaczął bić

brawo. Dlaczego aż z zapalem? Właśnie dlatego, że się skończyło. Mękę, na którą sam się skazał, miał już za sobą.

Wyszli z teatru, a wtedy Carina zapytała:

- Rozumiem, że nie cenisz specjalnie sztuki baletowej.

Potarł koniuszek nosa.

- Można by to tak ująć.

- To dlaczego mnie dzisiaj zaprosiłeś?

- Wspominałaś, że ten ansambl cię interesuje.

- Czyli poświęciłeś się?

Wzruszył ramionami.

Ona zaśmiała się i pocałowała go w policzek.

- A gdybyś wybierał na dziś wieczór to, co naprawdę lubisz, to co by to było?

Wsiadli do samochodu.

Zwlekał z odpowiedzią.

- No, śmiało, Jude.

Spojrzał na nią.

- Dobra, powiem. Prawdopodobnie byłby to bar, gdzie grają na żywo muzykę country-and-western.

Nie wyglądała na wstrząśniętą.

- Aha. Czemu nie. Też by mi się podobało.

- Naprawdę? - rozjaśnił się. Jakoś nie kojarzył dotąd paniny Patterson ze sferą popkultury.

- Naprawdę. I chyba jeszcze nie jest za późno? - spojrzała na zegarek.

- Chciałabyś pojechać posłuchać country?

- Jasne. A gdybym w którejś chwili przysnęła, to dasz mi kuksańca, dobra?

Wybuchnął śmiechem.

- Na tym na pewno nie zaśnieś. Jest to technicznie niemożliwe.

Ruszyli z piskiem opon i już po kwadransie byli pod jazdem „Crazy Eights”. Głośna muzyka wylewała się na zewnątrz lokalu.

- Ludzie wytrzymują to bez zatyczek w uszach? - zdziwiła się Carina.

Jude wysiadł, okrążył auto i otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Nie ma przymusu - uśmiechnął się. - Naprawdę nie musimy tam iść. Mogę cię odwieźć prosto do domu.

Podniosła się.

- Mowy nie ma - pokręciła głową. - Ty spróbowałeś dziś czegoś nowego w swoim życiu i ja też chcę spróbować.

Przyjął to z aplauzem.

- Ale chwileczkę - przystanął. - Powiniennem trochę zmienić wygląd. - Sięgnął do krawata i dwoma ruchami zdarł go z siebie. Potem ściągnął marynarkę. Jedno i drugie wrzucił do samochodu. Podwinął rękawy koszuli. - No, teraz jesteśmy gotowi.

Kiedy weszli do baru, zobaczyli na rozległym parkiecie mnóstwo par; niektóre z nich wykonywały figury prawie akrobatyczne.

- Ale artyści! - Carina spróbowała przekrzyczeć muzykę.

- No właśnie! To też jest jakiś balet.

Znaleźli miejsce przy jednym ze stolików, przy którym pojawił się zaraz kelner.

- Na co masz ochotę? - zapytał Jude.
- Na to samo, co ty.
- Naprawdę? No to na razie dwa piwa - złożył zamówienie.

Dostali swoje tekturowe podstawki i po szklance „Heineckena”. Carina, popijając, z zaciekawieniem popatrywała na tancerzy.

- Chciałabyś spróbować? - Jude pokazał głową parkiet. Spojrzała na swoje buty.
- Nie wiem, czy dam radę w szpilkach.
- Spróbujemy być ostrożni - wyciągnął do niej rękę. - Chodź.

Nim weszli na parkiet, Jude pokazał jej kilka podstawowych, używanych tutaj kroków. Carina szybko chwyciła, o co chodzi.

Zgrzali się, wirując i stepując, nim zespół ogłosił przerwę. Zamówili przy stoliku po jeszcze jednym piwie. Carina piła swego „Heineckena” niczym wodę. Wkrótce odczuła tego skutki.

- Kręci mi się w głowie - zamrużyła oczami. - Cały ten wieczór jest zakręcony.
- To co, może cię już odwiozę? - zatroszczył się Jude.
- Mowy nie ma - pogroziła mu palcem. - Przecież jeszcze będzie muzyka, prawda?

Przetańczyli następną turę, ale już przy malejącej liczbie par na parkiecie. Kiedy wrócili do stolika, Carina zażądała trzeciego „Heineckena”. Wpadła po nim w podejrzenie wesoły nastrój.

- Kończymy wieczór - zdecydował Jude. - Patrz - pokazał. Większość ludzi dawno wyszła.

W samochodzie Carina przeciągnęła się rozkosznie.

- Wiesz, balet był niezły - powiedziała. - Ale to, żeśmy tutaj sami potańczyli, było jeszcze lepsze.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Skinęła głową, bez słowa.

Ruszyli.

W pewnej chwili trąciła go łokciem.

- Jude...

- Słucham.

- Lubię cię.

Spojrzał na nią.

- Ja też cię lubię.

- Miło z tobą przebywać.

- I z tobą jest miło.

- Świetnie tańczysz.

Poruszył brwiami.

- A wiesz - znów go trąciła - że mnóstwo kobiet ci się przyglądało?

- Nie zauważyłem.

- Ale ja zauważyłam.

Dojeżdżali już na miejsce.

Jude zaparkował, zatroszczył się o torebkę Cariny, pomógł także jej samej wstać z fotela. Ponieważ się chwiała, wziął ją po prostu na rękę i zaniósł pod sam dom.

Nie protestowała. Pozwoliła się też ponieść dalej, aż na swoje drugie piętro.

- Może wejdiesz - uśmiechnęła się, gdy postawił ją na podłodze.

Chciał wejść i nie chciał. Ostatecznie wszedł i pomógł jej dotrzeć aż do sypialni.

- Może byś został? - znów się uśmiechnęła.

Bohatersko postanowił się jednak pożegnać.

- Nie powinienem... - zaczął. - Słuchaj, Carina...

Ona, milcząc odwróciła się tyłem. I pokazała suwak swej sukienki.

- Pomógłbyś mi rozpiąć.

Cóż miał zrobić? Pomógł.

Carina poruszyła ramionami, pociągnęła za rękawy i po chwili suknia zjechała w dół. I nagle miał ją przed sobą prawie naga, tylko w majteczkach, staniku i pantoflach na obcasach.

Zaniknął oczy i cicho zazgrzytał zębami.

Ona zaś odwróciła się do niego przodem.

Jude poczuł, że ma kompletnie zaschnięte gardło.

Odchrząknął.

- Ja już pójdę - zrobił krok do tyłu.

Postąpiła za nim.

- Nie pocałujesz mnie dziś na dobranoc?

Pochylił się i musnął jej wargi.

Ciało Cariny przeniknął dreszcz.

Zrobiło mu się nieswojo. Powinien się stąd jak najszybciej ewakuować. Gdyby się pozwolił skusić tej kobiecie, mogłaby mieć do niego potem duże pretensje.

Uśmiechnął się z przymusem,

- Jednak leczę, Carina. Pa. - Odwrócił się na pięcie i po-
pędził do drzwi.

Wsiadając do auta, nie był już tak bardzo pewien swoich racji. Ona może być jednak rozżalona, że ją zostawił. Zresztą i jedno, i drugie wchodzi w grę... Kobiety potrafią odczuwać sprzecznie i pragnąć wykluczających się rzeczy.

Potrafią to, ponieważ są kobietami.

Następnego poranka obudziło Carinę nieznośne dzwonienie. Na oślep próbowała wyłączyć budzik. Ale dzwonienie nie ustawało. Otworzyła jedno oko i zobaczyła, że jest już po dziesiątej, oraz zdała sobie sprawę, że to dzwoni telefon.

Wymacała słuchawkę.

- H-lo.

- Aha, jeszcze sobie śpimy - stwierdziła Marisa. - Jesteś sama?

- Sama.

- Masz dziwny głos.

- Mam. Bo źle się czuję.

- O! Bierze cię jakaś grypa?

- Nie. To raczej wielki kac.

- Kac! Chcesz powiedzieć, że spiłaś się wczoraj na balencie?

Carina jęknęła.

- Nie na balencie. To było w „Crazy Eights”.

Po tamtej stronie zapadła cisza.

Potem Marisa powiedziała:

- Wiesz co? Weź ty może aspirynę, zjedz coś i wtedy oddzwoń, dobrze? Chciałabym wiedzieć, jak wieczór

zaczęty baletem może się skończyć w knajpie o tak dziwnej nazwie*.

Carina pokiwała głową i odłożyła słuchawkę.

Chwilę jeszcze leżała, po czym ostrożnie spróbowała się podnieść. Chwiejnym krokiem poszła do łazienki, a tam w lustrze zobaczyła, że nie jest w piżamie, tylko w bieliźnie. Właściwie z jakiego powodu?

Stojąc pod kojącym strumieniem wody, zaczęła sobie przypominać szczegóły wczorajszego dnia. Zanim przysnąć skończył, już uśmiechała się do siebie.

A więc Jude zachował się jak dżentelmen. I w ogóle jest to miły facet... Świetną tancbudę wynalazł; warto by się do niej jeszcze nie raz wybrać. Oczywiście nie należy tylko przesadzać z trunkami.

Ubrała się i poszła nastawić kawę. Kiedy już była po dwóch filiżankach, z półtostem, uznała, że można zadzwonić do Marisy.

Bratowa natychmiast podniosła słuchawkę.

- No i...?-zapytała.

- Po balecie, na którym zresztą Jude zasnął, pojechaliśmy do „Crazy Eights”, gdzie grają country-and-western. I tam ubawiłam się jak nigdy w życiu.

- Carina, jesteś pewna, że z twoją głową lepiej?

- Lepiej.

- Jednak gadasz dziwne rzeczy. Rozumiem, żeście poszli na balet. Ale cała reszta jest do ciebie niepodobna. I jeszcze ten Jude, co zasnął...

* „Crazy Eights” - „Szalone ósemki”.

- Poczekaj. Jude nudził się na balecie, więc potem go zapytałam, gdzie czułby się naprawdę dobrze. A on mówi: „W barze westernowym”. Pomyślałam: Czemu nie? I było świetnie.

- To może teraz dołączysz do swego repertuaru jakieś kawałki w stylu westernowym?

Carina zachichotała.

- Aż tak to nie... Ale dobrze mi się tańczyło.

- Rozumiem. I co, nie został z tobą, jak cię odwiózł?

- Nie został.

- Aha. A co o tym myślisz?

- Myślę, że to dobrze. Na wszystko przyjdzie czas, Marisa... Wiem, że Jude będzie dobrym kochankiem, ale on chyba czeka na wyraźny sygnał z mojej strony.

- Aha... Przywieziesz go dzisiaj do nas?

- Myślę, że tak. On ma chęć.

- Włóż to swoje bikini.

Carina zaśmiała się.

- Może. To cześć, Marisa. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Właśnie manipulowała lokówką, tego samego poranka, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała do lustra: nie, te loki się chyba nie udadzą. Podeszła do aparatu.

- Słucham.

- Witaj. No i jak się dziś czujesz?

Odchrząknęła.

- Właściwie nieźle. Czy wczoraj bardzo się wygłupiałam?

- Dlaczego? Byłaś tylko wesoła.

- Wesoła? Niby tak. Ale nie powinnam była tyle pić.

Jude roześmiał się.

- Co ty powiesz... Zadzwoniłem, żeby się dowiedzieć, o której mam po ciebie wpaść. Chodzi o piknik.

Spojrzała na zegarek. Była prawie pierwsza.

- Myślę, że około drugiej. Goście będą się schodzili stopniowo. Z początku pobędziemy w kółku rodzinnym.

Nie od razu odpowiedział.

- To dobrze - odezwał się w końcu. - To bardzo dobrze.

Jude uśmiechał się do siebie, odkładając słuchawkę. Kółko rodzinne. Otóż to. Na tym mu przecież najbardziej zależało.

Wyszedł z pokoju i skierował się na dół. W saloniku zastał agentów w komplecie.

- Jakie plany na dzisiaj? - Hał podniósł głowę. - Dalej uwodzimy panienkę?

- Nie uwodzimy, tylko wykonujemy zadanie - usadził go Jude. - Dziś mam spotkanie z rodziną Pattersonów. Będzie piknik u Ala.

- A, to świetnie! - ucieszył się John. - A więc ona wprowadza cię pomału w rodzinę?

- Na to wygląda.

Ruth zmarszczyła czoło.

- Może się w tobie zakochała? Co o tym myślisz?

Jude roześmiał się.

- Nie sądzę. Od początku gramy ze sobą na dystans. Carina się mną bawi, czuję to; pomagam jej wrócić do życia towarzyskiego. Tylko tyle.

- Oby - skinęła głową Ruth.

- Chciałbym jak najprędzej mieć to zadanie za sobą - westchnął Jude. - Może pamiętacie, że zostałem tutaj odwołany z urlopu.

- Wszyscy chcielibyśmy to mieć za sobą - powiedział John.
- Będziemy bliżej końca, jeżeli się dziś dobrze sprawisz.

Alfred Patterson mieszkał w ogrodzonej rezydencji, która wyglądała na jeszcze rozbudowywaną. Kiedy Jude i Carina przekraczali bramę, ochrona spisała tablice rejestracyjne wozu.

Jude przyjął te manipulacje ze spokojem. Przybywając do Teksasu, od razu pozbył się swoich tablic marylandzkich, za-

instalował miejscowe i podał ranczo rodziców jako miejsce zamieszkania. Był więc całkowicie kryty.

- Imponująca posiadłość - uśmiechną się do Cariny.

- Al kupił to przed rokiem - powiedziała. - Podobno interes tak dobrze się rozwija, że mógł sobie na to pozwolić.

Dojechali przed portyk domostwa. W istocie budowla sugerowała, że jej właściciel nieźle prosperuje.

Zaparkowali i ruszyli tam, skąd dobiegał gwar wielu głosów, na tyły rezydencji.

Zobaczyli na trawniku kilkanaście osób, wśród których Jude od razu rozpoznał śledzonych przez Agencję lokalnych funkcjonariuszy Daviesa i Sullivana. Obaj rozmawiali z Alem.

Carina wzięła Judea pod rękę.

- Przedstawię cię rodzinie - powiedziała - a potem Al pozna cię z resztą gości.

Jude zauważył, że rezydencja wyposażona jest nie tylko w wielki basen, ale i w korty tenisowe.

Z daleka pomachała im ręką Marisa. Podbiegła do Cariny.

- Jak dobrze, że jesteś. Że jesteście - poprawiła się.

- Piękny dom - pokazał głową Jude.

- A, to są takie ambicje Alfreda. Alfredo! - Marisa zawołała do męża. - Są już Carina z Jude'em.

Brat Cariny oderwał się od dwójki agentów.

- Witam, witam - wyciągnął rękę w stronę Judea. - Poznaj przyjaciół domu - wskazał Daviesa i Sullivana.

Dopełniono prezentacji.

Ross Davies był niskim mężczyzną w średnim wieku, z lekka tyjącym. Patrick Sullivan wyglądał młodo, jakby dopiero skończył studia. Był wysoki; wydawał się wysportowany.

- Crenshaw... - zaczął myśleć na głos Davies. - To nazwisko wydaje mi się znajome.

- Mam sporo rodziny w Teksasie - podsunął Jude.

- Być może dlatego - zgodził się agent. - Czym pan się zajmuje, Jude?

Jude roześmiał się.

- Powiedziałbym, że w ogóle się nie zajmuję, na ile się da. A pan co robi?

- Ja akurat będę zmieniał pracę. Myślę też o wcześniejszej emeryturze.

Jude skinął głową.

-Aha.

- Zapraszam do drinków - odezwał się Al. - A gdybyś zechciał pograć w tenisa, to Patrick chętnie ci potowarzyszy. Jeszcze niedawno był gwiazdą w swojej drużynie uczelnianej. A poza tym oczywiście mamy basen - wskazał głową.

- Tam, skąd pochodzę - zaczął zaciągać z teksańska Jude - nie bardzo uczyli tenisa. Ojciec zaganiał nas od małego do roboty, wiecie.

Zauważył krótką wymianę spojrzeń między agentami. Uznali go prawdopodobnie za obiekt nieszkodliwy.

Carina, która dotąd stała cicho, odezwała się teraz:

- Wy róbcie, co chcecie, a ja poszukam sobie kawałka cienia. Nie będę się prażyła.

W jakiś czas potem Jude namówił Carinę na pływanie,

przy czym bikini Cariny tak go pobudziło, że nie spoczął, póki nie wykonał co najmniej dziesięciu okrążeń basenu.

Późnym popołudniem, kiedy większość gości odjechała, a Carina poszła pomóc Marisie w robieniu porządków, Al zaprosił Judea na wykafelkowany taras, na piwo.

- Pogadajmy trochę o mojej siostrze. - Al napełnił szklankę gościowi. - Wygląda na to, że macie się ku sobie?

Jude wytrzymał badawcze spojrzenie Pattersona bez mrugnięcia okiem.

- Pytasz w jakiejś szczególnej intencji?

- Wolałbym, żebyś jej nie skrzywdził.

- A wyglądam na krzywdziciela?

- Jesteś pies na kobiety, Crenshaw, taką masz opinię.

Jude roześmiał się.

- Opinia! Sam masz pod tym względem nie lepszą.

Al zamrugał oczami. Wyglądał na zaskoczonego. Łyknął ze swojej szklanki.

- Ja z tym zerwałem, od kiedy jestem z Marisą - zapewnił.

Akurat, pomyślał Jude. Łżesz.

Al znowu łyknął.

- Człowiek się zmienia - stwierdził filozoficznie. - Ja się ustatkowałem. A ty co zamierzasz?

- Za krótko jestem z twoją siostrą, żeby to wiedzieć. Ale zgodziłbym się z tym, że człowiek się zmienia. Jeśli ma dobre powody. - Chwilę milczał, a potem dodał, ciszej: - Podejrze-wasz mnie o jakieś nieczne zamiary?

Alfred skrzywił się.

- „Niczne”, co za słowo... Wiesz, jak to jest. Carinę łatwo

zranić. Tym bardziej że niedawno przeżyła tragedię. Mówiła ci coś?

Jude skinął głową.

- Trochę opowiadała.

- Tamten facet... - zamyślił się Al. - Właściwie nie pasował do niej. Mało ambitny, bez forsy... Dałem mu robotę, żeby się nie pałętał bez sensu. Kiedy Carina powiedziała mi, że chcą się pobrać, nie mogłem w to uwierzyć.

- Carina wspominała, że zginął w jakimś wypadku.

- Tak. Jechał za szybko, to było nad ranem i stracił panowanie nad kierownicą. Śmierć na miejscu.

- Wiem, że Carina była w depresji. Wtedy, kiedy ją poznałem, mówiła mi, że wciąż prawie nie wychodzi z domu.

- Za to w ciągu ostatniego tygodnia sporo przy twojej pomocy nadrobiła!

Jude zaśmiał się.

- Niby tak. - Wyciągnął się w swoim krześle, zaplatając ręce z tyłu głowy. - A... A na czym właściwie polegają twoje interesy, Al?

Jude ciekaw był, czy Alfred zechce od razu zmienić temat. Ale nie zmienił.

- Kupujemy i sprzedajemy różne rzeczy - odpowiedział - zabytkowe meble z Europy, jakieś precjoza z Bliskiego Wschodu i z Azji. Większość ciekawych zakupów robi Ben, ja nie mam tyle talentu... Interes się rozwija, inaczej niż za czasów ojca. To jest kochany staruszek, ale głowy do biznesu to on nie miał. Właśnie dlatego dostał wylewu, moim zdaniem, że był bliski bankructwa i strasznie się tym przejmował.

Myśmy z bratem przebudowali przedsiębiorstwo, nawiązali nowe, odległe kontakty, zadbali o nowoczesny marketing.

- Jestem pod wrażeniem.

Pojawiła się Carina. Podeszła z tyłu do Judea, położyła mu ręce na ramionach i zaczęła je masować.

- Jesteś pod wrażeniem z jakiego powodu?

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Masz niebywale pracowitą rodzinę. Czuję się zmęczony na samą myśl o tym, jak wy się męczycie.

Al posłał mu uśmiech, w którym było wiele protekcyjnego pobłażania.

- Pozwalasz sobie na nic nierobienie, bo pracują na ciebie pieniądze Crenshawów. Ale...

Jude podniósł się i przeciągnął.

- Pozwalam sobie i nikt z tego powodu nie narzeka - powiedział. Obejrzał się, obejmując Carinę ramieniem. - Co, tygrysku, chcemy już do domku?

Al nadstawił uszu na tego „tygryska”, ale pozostawił rzecz bez komentarza.

Nastąpiło pożegnanie z rodziną. Kiedy oboje znaleźli się w samochodzie, Carina zapytała:

- O czym tak poufnie konwersowaliście z Alfredem?

- O jego interesach.

- Tylko o tym?

- Nie tylko. Al przestrzegał mnie jeszcze, żebym ci nie zrobił krzywdy.

Jęknęła.

- Zawsze to samo. Mój samozwańczy anioł stróż.

- Ja bym go nie potępiał. Gdybym miał siostrę, też może byłbym taki opiekuńczy.

- Tak? Ale pod warunkiem, że ona byłaby jeszcze smarkułą, prawda? Ten mój Al chyba nie zauważył, że ja trzy lata dawałam sobie jakoś bez niego radę w Nowym Jorku.

- Dawałaś sobie radę? Aha! Szalało się!

Spuściła oczy.

- No, aż tak to nie. Głównie się uczyłam. I zresztą czułam się związana z Dannym.

Dojechali już przed apartamentowiec Cariny. Wysiedli z samochodu i wtedy Jude powiedział lekkim głosem:

- Miło mi, że zechciałaś wyjść ze mną z rodzinnego spotkania.

- Bo lubię z tobą przebywać - odpowiedziała.

Doszli pod jej drzwi. Carina otworzyła je i zaproponowała:

- Jest jeszcze wczesnie. Nie zaszedłbyś na chwilę?

Poskrobał się w kark.

- Nie mogę... Niestety. - Szybko pocałował ją w policzek i odstąpił. - Zadzwoń do ciebie - powiedział, czując, że bardzo już chciałby mieć tę misję za sobą. Dosyć miał gry we flirt towarzyski, gdzie stawką były prawdziwe emocje panny Patterson. Ba, coraz bardziej także jego własne emocje. Wszystko to było wyczerpujące.

Kiedy wrócił do domu, zastał w salonie Ruth i Hala.

- Cześć - uniósł rękę. - Co u was, jak leci?

Hal odpowiedział:

- Pluskwa w ich biurze zadziałała. Al i Ben wybierają się w następny czwartek w podróż handlową do Mexico City. Sądziś, że powinniśmy za nimi jechać?

- Oczywiście. Ponieważ oni was nie znają, możecie się oboje podszyć pod zwykłych turystów. Gdyby spotkali mnie, mogliby mieć podejrzenia. Aha, coś mi się przypomniało. Według Ala Pattersona narzeczony Cariny zginął, bo po prostu jechał za szybko. Taką wersję mi wciskał.

- No, należało się tego spodziewać - powiedziała Ruth.

- Słuchaj, Jude - podjął Hal. - Mamy też nagraną rozmowę Alfreda z jakimś jego krewniakiem w Mexico City. Wynikałoby z niej, że ani rodzice, ani Carina nic nie wiedzą o „ubocznej” działalności firmy i „mają się nie dowiedzieć”.

Jude poczuł nagłą ulgę. A więc jest tak, jak w przebłytku intuicji wcześniej przypuszczał. Sympatyczni starsi państwo i ich córka nie są w nic zamieszani. Lecz to nie oznacza prawdopodobnie, że zaraz znajdą się poza nawiasem akcji. Pozostaną kontaktami. Jednak łatwiej mu będzie spotykać się z Carina, gdy wie o niej, że nie jest podejrzana.

Do pokoju wszedł John.

- Cześć, Jude - powiedział. - Zdobyłeś dziś jakieś nowe informacje?

- Poznałem Daviesa i Sullivana. Na własne oczy zobaczyłem, że się mocno kumplują z Alfredem.

- Czyli że nasze przypuszczenia były słuszne.

- A co z ich ubocznymi dochodami? Wiadomo już, skąd płynie forsa?

- To skomplikowana sprawa. Ona jakoś lawiruje między kontynentami. Wiesz, że istnieją te różne „raje podatkowe”.

- No tak.

- Teraz jestem na etapie śledztwa internetowego.

- Uhm.

Ruth zaczęła się podnosić. Oparła się bokiem o stół i złożyła czubki palców.

- Czyli tak - zaczęła myśleć na głos. - Hal i ja jedziemy do Mexico City i tropimy młodych Pattersonów. John śledzi ich dalej przez Internet. A ty, Jude? - obróciła głowę.

- Ja? Ja wiem tylko tyle, że w najbliższym czasie na pewno nie wybieram się na żaden nowy balet.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- I co? - zapytała Marisa, gdy następnego poranka Carina podniosła słuchawkę.

- A, to ty, Marisa, dzień dobry.

- Został z tobą wczoraj wieczorem?

- Bardziej zajmujesz się moim życiem seksualnym niż swoim własnym.

- Słuchaj, kotku, ty w końcu masz szansę na jakiegokolwiek, a ja chyba nie. Alfredo ma sto wymówek, żeby nie pójść ze mną do łóżka. Albo pracuje do późna, albo ogląda ważny mecz w telewizji, albo wyjeżdża służbowo. Dziś zapowiedział mi przy śniadaniu, że w tym tygodniu znów wyrusza. Chyba naprawdę wynajmę tego detektywa, żeby go śledził.

- Współczuję ci, że to tak poszło. Może masz rację, może trzeba raz przeciąć wątpliwości.

- Właśnie. No, jednak miałyśmy rozmawiać o tobie, nie o mnie. Więc jak, byliście ze sobą?

- Nie byliśmy. Nie wszedł nawet do środka, choć go zapraszałam.

- Hmm... Czyli, że przyszła pora na bardziej zdecydowaną akcję z twojej strony.

Carina zaśmiała się.

- Aż akcję! A co byś mi proponowała?

- Urządź kolację u siebie. Wiesz, taką ze świecami.

- I myślisz, że to zadziała?

- Na pewno zadziała. „Przez żołądek do serca”, jak mawiały nasze babcie.

- Do serca? E, to za wiele. Nie chcę od Jude'a aż tyle. Wystarczy, jak się trochę pouwodzimy.

- Jak uważasz. Posteruj tym.

- Jeśli potrafię... Słuchaj no, a co Alfred mówił o Judzie?

- Chyba go polubił. Mówił coś, że przydadzą mu się jego koneksje rodzinne. Crenshawowie bawią się w politykę, wiesz, na szczeblu stanowym.

- Ale co mówił o nim samym?

- Że... że wydaje mu się facetem bez szczególnych ambicji.

- Aha. No tak. Ale mniejsza z tym. W końcu nie zamierzam wychodzić za Jude'a.

- Nie? Nigdy nie wiadomo, co się wam może przydarzyć. A ten wieczór przy świecach, jak, urządzisz?

- Zaproszę go. Zobaczymy, co to da.

- Da, da. Takie rzeczy zawsze działają.

- Tak myślisz? Obyś miała rację. W takim razie pa, Marisa.

- Pa.

Telefon Cariny około południa w niedzielę zaskoczył Judea. Nie przypuszczał, że się odezwie. Dziś nie zamierzał się z nią spotykać. Siedział w kuchni i rozważał właśnie możliwość po-

jechań do rodziców albo na ranczo brata, żeby zobaczyć najmłodszego z Crenshawów. Telefon Cariny zbił go z tropu.

- Słuchaj, Jude, może wpadłbyś do mnie wieczorem... - zaczęła mówić. - W kablówce jest dużo ciekawych filmów. Chciałabym ci się jakoś zrewanżować za wszystkie przyjemności, jakie dla mnie dotąd obmyśliłeś.

- O! Ale ja...

- Proszę cię, nie odmawiaj. Ostatnio wciąż jesteśmy w jakimś tłumie i nie było okazji pobyć tylko we dwoje.

Tylko we dwoje? Lecz tego właśnie Jude wolałby uniknąć.

- Bardzo bym chciał, Carina...

- To świetnie. W takim razie o siódmej.

Rozłączyła się, zanim zdążył rozwinąć swoją wypowiedź.

Jude spoglądał na słuchawkę i kręcił głową.

- Co to, Crenshaw, mówisz sam do siebie? - Do kuchni wkroczył John, z kubkiem w ręce. John dolał sobie kawy i oparł się plecami o blat.

- Na to wygląda - Jude odwiesił słuchawkę. - Wiesz, są chwile, że cała moja robota tutaj wydaje mi się totalnym nieporozumieniem.

- Aż nieporozumieniem? - John łyknął kawy. - Cóż, praca w Agencji wyczerpuje... Ja też teraz gadam jakby sam ze sobą, i to przez komputer. Próbuję przechytryć Internet, który ukrywa potrzebne mi dane. Gadam do niego, ale tak, jakbym gadał sam do siebie.

Jude podszedł do lodówki i zaczął z niej wyjmować różne rzeczy nadające się do zrobienia lunchu.

-I co ten Internet...? - spytał z roztargnieniem.

- Mówię, że stawia mi opór.

Jude skinął głową. Zaczął sobie komponować kanapkę. Znów otworzył lodówkę i wyjął z niej karton mrożonej herbaty.

- Wiesz - podszedł do stołu - szkoda, że tak mało wiem o komputerach. Chętnie bym w ogóle zamienił się na robotę z tobą.

John zasiadł naprzeciw niego.

- Zamieniłbyś się? I chciałbyś, żebym to ja się spotykał z tą ślicznotką Pattersonówną? Czemu nie, ja bardzo chętnie. A co, nudzisz się z nią?

- Nie. Zmęczyła mnie tylko ta cała maskarada i gra, które z nią uprawiam. Chciałbym już mieć wszystkie potrzebne dane i zmiatać stąd, gdzie pieprz rośnie.

- Jak my wszyscy, kolego. Może ta wyprawa do Meksyku przyniesie coś rozstrzygającego? Liczymy na to.

- No, może.

- A właściwie co z Carina? Co dziś planujecie?

- Zaprosiła mnie do siebie. Prawdopodobnie na kolację.

- Nie wygląda to przykro.

- Ale jest przykre. Powiedziałem już: nie mam ochoty dalej z nią tak grać.

- No to zerwij z nią.

- Zrobię to, ale wpiery muszę być pewien, że nic się już od niej ani za jej pośrednictwem nie dowiem. Musimy przecież przyszpilić tych drani, co sprzedają dzieciakom narkotyki.

- Może chciałbyś pracować u nas, w Wydziale Narkotyków?

Jude pogryzł, połknął i napił się herbaty.

- Czy ja wiem? Chyba jednak wolę swoją robotę w ABN-nie. Swoją drogą jesteście tu bardzo koleżeńscy w stosunku do mnie, gościa z zewnątrz, który w dodatku przejął ileś ważnych kompetencji.

- Nie przejął, nie przejął. Oddelegowano cię do nas, bo po prostu musieliśmy zastosować mniej konwencjonalne środki, aby ująć tych, co zabili naszego przyjaciela. Czasami działamy jak Hunowie, niestety.

- Hunowie! Tak to oceniasz? Czyli cel nie uświęca środków?

- Myślę, że nie... Chociaż na dobrą sprawę, nie wiem.

- Ba. I ja tego też nie wiem.

O siódmej Jude zapukał do Cariny, jednakże w nastroju niezbyt romansowym. Całe popołudnie udawał przed sobą, że tego spotkania w ogóle nie będzie. Siedział nad swoimi dokumentami, przeglądał raporty, wypełniał druczki. Pracował.

Otworzyła mu i cofnęła się zapraszająco. Jej rozjaśniona twarz i błyszczące oczy zaniepokoiły go. Uzmysłowił sobie, że ich stosunki zmieniają się w coraz bardziej osobiste. Niestety. Carina parę dni temu powiedziała „lubię cię”, co w podtekście znaczyło „ufam ci”. I przykro było zawieść to jej zaufanie.

Wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi.

- Dobrze, żeś jednak przyjechał - powiedziała.

Była dziś jakaś odmieniona, odświętna. Cała promieniała. A ubrana była w powiewne fru-fru, na cieniutkich ramiącz-

kach. Pięknie pachniała. Zawsze pięknie pachniała, ale dziś wypromieniowywała z siebie coś zniewalającego. To feromony, przeleciało mu przez głowę. Zetknął się z tym określeniem wcześniej w swojej pracy wywiadowczej.

Światło w mieszkaniu było przyćmione. Na stoliku paliły się grube świece. Stał tam również duży półmisek z zakąskami.

- Ho, ho - pokazał głową. - Napracowałeś się nad tym.

- Niespecjalnie - wzruszyła ramionami. - Mam nadzieję, że będzie ci to smakowało.

- Pięknie wygląda.

- Siadaj. Możemy od razu włączyć jakiś film, albo później, jak zechcesz.

Zapadł się w wygodną sofę. Poklepał tapicerkę.

- Relaksowy mebel.

- Chcesz relaksu? Mogę ci pomasować kark.

- Może później - wyprostował się.

Carina podała talerzyki; zaczęli jeść i oglądać telewizję. Film przytrafił się romantyczny, zarazem erotyczny. Już po kwadransie Jude był pobudzony. Kiedy Carina przytuliła się, a potem z własnej inicjatywy pocałowała go, w naturalny sposób oddał pocałunek.

Po półgodzinie współdziałali już prawie z aktorami. Jude poczuł jednak wyrzuty sumienia.

- Słuchaj, ale może źle robimy? - zapytał. - Mieliśmy przecież być ze sobą tylko... niezobowiązująco?

- A czy to jest zobowiązujące? - naparła na niego. - To, że jest nam w tej chwili przyjemnie?

Zapuścił żurawia za jej dekolt

- Carina... - zamruczał. - Bo nie ręczę za siebie.

- I nie rób tego - szepnęła mu do ucha.

- Jesteś naprawdę niebywała - pokręcił głową. - Chcesz się kochać? Powiedz wprost.

- No to mówię - zaśmiała się cicho.

Trudno, widocznie los tak zdecydował, pomyślał. I nic tu do roboty nie ma sumienie.

- Absolutnie niebywała... - zamruczał znów.

Po czym podniósł się, chwycił Carinę na ręce i poniósł ją do sypialni.

Tam upadli na łóżko.

- Tyś to wszystko zaplanowała, prawda? - pośpiesznie ściągał z siebie koszulę. - W szczegółach.

Ona dwoma ruchami zdjęła z siebie fru-fru.

- Może nie w szczegółach. Raczej z pewną dozą prawdopodobieństwa.

- Ale czekaj - zatrzymał się Jude. - Ja czegoś nie mam ze sobą.

- Może tego? - wychyliła się ku szafce nocnej i wyjęła z szuflady pudełeczko prezerwatyw.

- No, niebywała! - powtórzył po raz trzeci. - Jednak plan był szczegółowy - uśmiechnął się. - I nie będziesz niczego żałowała?

Patrzyła, jak on ubiera się w lateksowy płaszcz.

- Niczego. Żałowałabym tylko, gdybyś się teraz wycofał.

- Teraz! - zaśmiał się. - O, Carina, na wycofywanie się jest już za późno. O wiele za późno. Chodź no tu do mnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Uśmiechnęła się do siebie. Potem obróciła twarz ku niemu. A on leżał z zamkniętymi oczami i z kropelkami potu na czole. Chciałaby mu zetrzeć ten pot z czoła, ale nie miała siły podnieść ręki. Tak była skonana.

Po dłuższej chwili Jude otworzył oczy i zauważył, że Carina go obserwuje. Westchnął i przyciągnął ją do siebie.

- Nie tak miało być między nami - powiedział. - Inne obmyśliliśmy reguły.

- Nie wiedziałam, że w ogóle mają być reguły - uniosła brwi. - Ale gdybyś się czuł zniewolony, to umawiaj się również z innymi paniami. Jak kiedyś... Zniosę to.

Zaskoczyła go.

- Nie zniewolony - pokręcił głową. - Tylko, że... mieliśmy się nie wplątywać oboje w nic poważnego.

- Ależ to nie jest poważne - zapewniła go. - Czuj się wolny, tak jak ja się czuję wolna. Mnie jest po prostu z tobą przyjemnie, nic więcej.

- Aha. - Z jakiegoś powodu nie ucieszył się z tego oświadczenia.

- Chciałam się z tobą kochać - mówiła dalej - i osiągnęłam to. Właściwie powinnam ci podziękować.

Odsunął się trochę i zmarszczył.

- No wiesz... Bywasz nie do wytrzymania.

Zaśmiała się. Potem pocałowała go w ramię.

- Mam nadzieję, że nie musisz zaraz jechać do domu. Zostań jeszcze.

- Zostanę - przygarnął ją. - Ale teraz na chwilę wstanę i pójdę do łazienki, dobrze? A ty czekaj tu na mnie.

Nieco po szóstej następnego poranka Jude wchodził do kuchni od strony garażu, starając się nie robić hałasu. Miał nadzieję, że wszyscy jeszcze śpią.

Niestety, mylił się. W drugim wejściu pojawił się John, nieogolony i z kubkiem w ręku. Najwyraźniej przyszedł po kawę.

Obaj spojrzeli na siebie zdziwieni.

- Ale z ciebie ranny ptaszek - powiedział John. - Albo raczej nocny Marek. Bo widzę, że skądś tam wracasz.

- A ty, czemu wstałeś tak wcześniej? - zapytał Jude.

John zaczął przygotowywać ekspres.

- Ja jeszcze się nie kładłem - wzruszył ramionami. - Całą noc siedziałem w Internecie.

- Namierzasz Daviesa i Sullivana?

- Uhm. A ty namierzasz pannę Patterson?

Jude zrobił niepewną minę.

- No, niby tak.

Ekspres zasygnalizował gotowość. Wobec tego obaj sięgnęli po kubki.

- Oj, Jude - pokręcił głową John. - Żebyś sobie nie narobił kłopotów. Co będzie, jak Carina poczuje się wykorzystana i później cię oskarży?

Jude westchnął.

- Sprawy się rzeczywiście komplikują. Ale poszliśmy do łóżka z jej inicjatywy, nie z mojej. Gdybym się opierał, mogłaby nabrać podejrzeń. Traktuję tę dzisiejszą noc jako element kamuflażu.

- Ty spryciarzu! - zaśmiał się John. - Uważaj jednak... Uwzględniś w raporcie dla Watsona dzisiejszy incydent?

Jude poczuł się nagle bardzo zmęczony. Ziewnął.

- Wolałbym mu nie zawracać głowy. A ciebie, John, też bym prosił o dyskrecję.

John łyknął z kubka.

- W porządku. Ja cię nawet rozumiem. Tylko, na Boga, nie zakochaj się w tej pannie. Byłoby to nieprofesjonalne.

- Zakochać się? O, nie. - Jude z przekonaniem pokręcił głową. - Oboje umówiliśmy się, że traktujemy naszą znajomość luźno. Przynajmniej tyle.

- No dobra - John odstawił kubek. - W takim razie trzymaj się, chłopie. I idź spać. Ja też pójdę do siebie.

Jude umył oba kubki i ruszył na górę. Rozwagał to, co usłyszał. Ostrożności nigdy dosyć, *oczywiście*. Ale jak być na dystans z kobietą tak pełną temperamentu jak Carina?

Biorąc prysznic, przypominał sobie sceny z wczorajszego wieczoru. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki podniecony. Pewnie miała w tym swój udział dwuznaczność sytuacji. Wiadomo, owoc zakazany lepiej smakuje. Ale nie tyl-

ko to... Było mu z Carina dobrze, bo i jej było dobrze z nim. Okazywała mu to. Do licha, żeby się tylko od niej nie uzależnić. John ma rację, potrzebna jest tutaj ostrożność.

Leżąc już w łóżku, nie mógł zasnąć. Ziewał nerwowo i przewracał się z boku na bok. Cholera, żeby to się już skończyło. Żeby już można było wrócić do Marylandu i zapomnieć o tej idiotycznej misji. Może nie idiotycznej, ale wyczerpującej, przy pozorach rozrywkowości. W każdym razie wyczerpującej kogoś takiego jak Jude.

Żeby to się już skończyło.

Po południu tego samego dnia spotkał się z trójką agentów na naradzie podsumowującej dotychczasowe osiągnięcia. Hal i Ruth orientowali się już dość dobrze w harmonogramie podróży Pattersonów. Oczywiście mieli wykupione bilety do Meksyku. John po ostatnim surfowaniu w Internecie wiedział sporo o pewnej pozorowanej firmie, ograniczającej się do posiadania kont, przez które przechodziły pieniądze Daviesa i Sullivana. Rzecz jasna okrężnie, transoceanicznie.

- Wkrótce obu gości przygwoździmy - obiecał John. - A jak ich przyciśniemy, Pattersonowie też będą nasi, wierzę w to. No i prędko się dowiemy, kto zabił naszego Gregga.

- Może poczekamy z aresztowaniem obu - odezwał się Jude - do momentu, gdy Pattersonowie będą już za kratkami? Ja bym spróbował najpierw przyłapać Ala i Bena na gorącym uczynku, w chwili przerzutu nowej partii kontrabandy do Stanów.

- *To brzmi rozsądnie* - zgodził się John. - *Chyba tak zrobimy. ... No, a ty, Jude? Jakie są twoje najbliższe plany?*

- *Do końca akcji meksykańskiej wstrzymam może kontakty z panną Patterson. Najbardziej naturalne będzie - zaczął myśleć na głos - gdybym wyjechał stąd na kilka dni, na przykład do brata.*

- *Tak, to niezły pomysł* - pochwaliła Ruth. - *Rozluźnianie kontaktów z Carina powinno się odbywać stopniowo i pod dobrym pretekstem, bez ranienia jej.*

- *No właśnie* - skinął głową Jude. *Potem popatrzył na Johna i Hala. - To co, kończymy naradę? Każdy wie, co ma robić w najbliższych dniach. Oczywiście pozostaniemy w łączności. W razie czego macie numer mojej komórki.*

Resztę wieczoru agenci spędzili oglądając filmy w telewizji, Jude natomiast wsiadł do samochodu i długo jeździł bocznymi drogami, słuchając country-and-western oraz upewniając się, że nadszedł moment, gdy rzeczywiście trzeba zacząć się żegnać z Carina Patterson. Cóż, jak trzeba, to trzeba.

- *Jakie masz plany na dziś wieczór?* - zapytała Marisa, gdy Carina odebrała jej telefon w środę po południu.

- *Dobre pytanie. Może chciałabyś ze mną pójść do kina?*

Marisa przez chwilę milczała.

- *Jak to, to ty nie jesteś dziś z Jude'em?*

- *Nie.*

- *Nie umówiliście się?*

- *Nie widziałam go od niedzieli. Moje wysiłki uwodzicielskie nie zrobiły na nim chyba wrażenia. Nie dzwoni do mnie.*

- Och, Carina, tak mi przykro. Bo ty przecież naprawdę go lubisz.

- Owszem, lubię, ale z drugiej strony nigdy nie miałam złudzeń co do charakteru naszej znajomości. Zresztą ty sama opowiadałaś mi kiedyś, jaką on się cieszy opinią.

- No tak, ale był z tobą już tak blisko, że... Sama rozumiesz.

- Cóż... Kto pojmie, w jaki sposób działa męski umysł? Ale nieważne. Zajmę się swoją muzyką. Za parę tygodni wracam na studia. I na razie, tak naprawdę, żaden związek w ogóle nie jest mi potrzebny. - Przerwała, nabrała dużo powietrza i pomalеньku je wypuściła. - A więc jak, chcesz pójść ze mną do kina?

- Dobrze, czemu nie. Al wyjechał, a moja siostra lubi się zajmować dziećmi. W takim razie ty i ja możemy sobie urządzić wieczorek panieński.

Carina, po skończonej rozmowie, długo jeszcze wpatrywała się w aparat. Zła była na siebie. Od poniedziałku, ile razy dzwonił telefon, podbiegała, w nadziei że odezwie się Jude. Ale on ani razu nie zadzwonił.

Dziś, po trzech dniach, była już prawie pewna, że nastąpiło między nimi zerwanie.

A więc okazała się w łóżku aż tak nieatrakcyjna?

Dziwne, bo Jude w niedzielę wydawał się być w siódmym niebie. I sam z siebie dawał tak dużo, że... Carina zarumieniła się na wspomnienie tamtych chwil.

Jej pierwsze rozczarowanie nadeszło w momencie, gdy odkryła, że nie ma go przy niej. Obudziła się w poniedziałek

w pustym mieszkaniu. Zawołała „Jude!” ale odpowiedziała jej tylko cisza.

Następnego dnia próbowała wymyślić jakiś pretekst, aby do niego zadzwonić, ale nic nie wymyśliła. Przecież nie będzie mu się narzucała. Sama go zachęcała do bycia wolnym i on skorzystał z tej wolności. Cóż można więcej zrobić?

Odsunęła od siebie telefon i postanowiła zacząć myśleć o czymś innym. Na przykład, co by tu włożyć na spotkanie z Marisą? Świat nie kończy się na Judzie. Jest Marisa, są ciekawe filmy, no i jest przecież muzyka: największa miłość życia Cariny. Świat nie kończy się na Judzie.

Przez ostatnie trzy dni wiele razy podchodził do telefonu, aby do niej zadzwonić. Teraz była środa, a on nadal się wahał: milczeć i jechać do rodziny, czy jednak zatelefonować? Wreszcie podjął męską decyzję: lepiej milczeć i pojechać. Choćby na jeden dzień, na parę godzin.

Podróż przez Hill Country uspokoiła go. Pagórkowaty krajobraz był piękny i już po półgodzinie uśmiechał się, wyobrażając sobie, jak będzie się witał z bliskimi i z rodzinnym ranczem.

Po dalszych dwóch godzinach podjeżdżał pod obszerny, tradycyjny dom z suszonej cegły, przykryty czerwoną dachówką. Mieszkał tu Jake z Ashley. W domu tym wychowało się wiele pokoleń Crenshawów. Sam Jude spędził tu całe dzieciństwo i młodość.

Starsi państwo Crenshawowie zbudowali sobie mniejszy bungalow kilka mil stąd, gdy ojciec przekazał gospodarstwo

najstarszemu z synów. Jude cieszył się, że to gospodarstwo jest nadal utrzymywane, że istnieje rodowe gniazdo, ostoja dla serca i azyl na wypadek jakiegokolwiek katastrofy życiowej.

Jude otworzył drzwi auta, wysiadł i przeciągnął się. Po-tem powędrował w stronę patia kuchennego. Nim doszedł do drzwi, na progu pojawił się Jake i obaj bracia padli sobie w ramiona.

- Nie do wiary! - Jake poklepywał Judea po plecach. - Więc jednak przyjechałeś! Cuda się zdarzają.

- Przyjechałem, ale na niedługo - westchnął Jude. Odstąpił pół kroku i przyjrzał się bratu. - Widzę, że służy ci wiejskie życie. A jak tam najmłodszy Crenshaw? I jak Ashley?

Jake otworzył drzwi, przepuszczając Jude'a przodem.

- Oboje są cali i zdrowi. Ashley nie może się ciebie doczekać.

W kuchni tradycyjnie pachniało kawą. Jude podszedł do nigdy nie wyłączanego ekspresu i nalał sobie pół kubka. Poczł się w domu od razu rozkosznie.

- To gdzież ta Ashley? - zapytał.

- Przed chwilą karmiła małego, na górze. Chcesz ją zobaczyć?

- Nie chciałbym przeszkadzać...

- Nie bój się, nie przeszkodzisz.

Jude dopił kawę i poszedł za bratem schodami na piętro.

- Coś tu jest inaczej niż zazwyczaj - odezwał się. - Już wiem, nigdzie nie słychać waszej dziewczynki. Gdzie Heather?

- Jest w miasteczku, u koleżanki. U wnuczki rejestratorki z kliniki, z którą Ashley się przyjaźni.

- Aha... No a jak z imieniem dla syna? - Jude zadał to pytanie, gdy byli już na piętrze i kiedy otwierały się właśnie drzwi od sypialni. Na ich progu pojawiła się Ashley.

- Jude! - zawołała, podbiegając do szwagra. - Jak dobrze cię widzieć. Oczywiście jest imię, a nawet dwa.

-I jakież to?

- Joseph Kenneth. Nazwaliśmy małego po obu dziadkach.

- Bardzo rozsądnie. To co, obejrzymy teraz Josepha Kennetha?

Ashley zawahała się.

- Z trudem go uśpiłam. Może później, jak się obudzi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Dobra, w takim razie potem - powiedział Jake. - To wracamy do kuchni, pogadamy sobie.

Zasiedli na dole. Na stole pojawiła się mała karafka nalewki. Spełniono toasty. Następnie Jake sięgnął po telefon i zadzwonił do rodziców, zawiadamiając ich o przyjeździe Judea.

Po półgodzinie matka z ojcem już wchodzili do kuchni. Zaczęły się uściski, powitania i bezładna rozmowa.

- Jak długo zostajesz? - pytała matka.

- Dziś niestety krótko. Ale za jakiś czas odbieram drugą część urlopu i wtedy posiedzę u was tydzień albo dwa - przyrzekał Jude.

Wizyta trwała, panie przyrządzały lunch, panowie rozmawiali o polityce. Kiedy na górze zapłakał mały Joseph Kenneth, Ashley go przyniosła i Jude miał okazję wreszcie zoba-

czyć, jak wygląda najmłodszy z Crenshawów. Cóż, niemowlę jak niemowlę, pomyślał.

- Wykapany tatuś - powiedziała. - Ale do mamusi też podobny.

Kiedy nadeszła pora odjazdu, z ociąganiem szedł do samochodu. Rodzinny dom to rodzinny dom. Człowiek niechętnie go opuszcza.

Jechał z powrotem dość powoli, a i tak znalazł się w San Antonio przed siódmą. I przyszło mu do głowy, że może jednak zapuka do Cariny? Pewnie będzie wściekła, może nawet wyrzuci go za drzwi. Jednak warto zaryzykować. Nie wiedział jeszcze, co jej powie. Coś tam powie. Skręcił z autostrady i zaczął kluczyć ulicami miasta.

Zaparkowawszy, wbiegł na drugie piętro. Długo naciskał dzwonek, ale nikt mu nie otwierał. Czyżby gdzieś wyszła?

Poczuł się nagle zły. Spędzili ze sobą w niedzielę całą noc, a ona już w środę popędziła na spotkanie z kimś innym. Po chwili uznał, że osądza ją bezprawnie, że w ogóle wtyka nos w nie swoje sprawy i jeśli ktoś tu jest nie w porządku, to na pewno nie Carina.

Być może pojechała zresztą po prostu do rodziców, bardzo to prawdopodobne. Zadzwoni do niej jutro. Jutro spróbuje ją udobruchać. W końcu są chyba przyjaciółmi? Przyjaciele wiele sobie wybaczą. Parodniowe milczenie nie jest wykroczeniem przekreślającym przyjaźń.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Carina ćwiczyła na fortepianie po trzy, cztery godziny dziennie i robiła tak od lat. Od ostatniego poniedziałku grała jeszcze więcej. Skupienie, jakiego wymagała muzyka, odwracało jej myśli od innych spraw, choćby od nagłego załamania znajomości z Jude'em.

Zadzwoił telefon, ale prawie go nie zauważyła. Grała dalej. Telefon jednak nie przestawał dzwonić.

W końcu podniosła się od klawiatury.

- Słucham?

- Cześć.

Usłyszawszy Jude'a, przysiadła na krzesełku. Położyła rękę na piersi, aby uspokoić nagle rozpędzony puls.

Nabrała powietrza.

- Witaj, Jude.

- Ja... - urwał. - Pomyślałem, że zapytam, co u ciebie?

- U mnie? Jako tako.

- No to dobrze. - Umilkł. - To bardzo dobrze - powtórzył. - Jeździłem teraz do swojej rodziny, wiesz. Wróciłem wczoraj wieczorem.

A więc nie było go w mieście. Cóż, ale to wciąż nie tłumaczy tak nagłego zamilknięcia.

- Pewnie się ucieszyli, że cię widzą? A jak synek twego brata?

- Ucieszyli się. No a mały, jak mały. Niemowlę.

- Aha. A dlaczego teraz dzwonisz?

Odchrząknął.

- Zdaje się, że trochę nagle zniknąłem w poniedziałek rano.

- Zdaje ci się. Ale nie jesteś pewien?

- Prawda jest taka, że... Naprawdę, to... A do licha. Nie ma o czym mówić. W takim razie przepraszam, że ci zawracałem głowę i...

- Jude! Poczekaj.

-Tak?

- Może jednak powinniśmy się zobaczyć i wyjaśnić sobie, co się stało?

- Co się stało... Stało się! Nie ma co wyjaśniać. Prawda jest taka, że strasznie chciałbym się z tobą kochać. Po prostu skręca mnie od tamtej nocy! - Wyrzuciwszy to z siebie, umilkł. - Chyba nie powinniśmy się byli tak angażować. Tym bardziej że przecież wkrótce rozstajemy się, opuszczamy San Antonio.

- Jak to opuszczamy? Ja jadę na studia, a ty?

Cisza. Brak odpowiedzi.

-Jude?

- Ja? Hm, właściwie nie jestem pewien. Chyba pojedę znowu do rodziny, a potem myślałem o odwiedzeniu kumpla z wojska, na Wschodnim Wybrzeżu.

-Aha.

- No właśnie. Ale teraz mogłabyś się jeszcze ze mną umówić. Daj się przeprosić.

- Tamto w poniedziałek nie było ładne...

- Nie było. Uciekłem jak tchórz.

Musiała się uśmiechnąć.

- No dobrze. Przeprosiny przyjęte.

- Naprawdę? To świetnie - ucieszył się. - W takim razie co: może zaraz przyjadę? Na co miałybyś ochotę, jakiś lunch czy coś innego?

- Zastanawiam się, co by mogło być to „coś innego”?

Zaśmiał się.

- Co zechcesz. Dośpiewaj sobie sama.

- Oj, Jude. No dobra, wobec tego czekam.

- A ja już jadę. - Odłożył słuchawkę.

Wpatrywała się w aparat, kręcąc głową. A więc on jej pragnie, i to nawet „strasznie”. Ładne rzeczy. Źle oceniała i jego, i siebie. Chociaż - właściwie nie wiadomo, cieszyć się z tego wszystkiego czy nie? Zadawanie się z Jude'em jest rzeczą tak czy owak ryzykowną. Może jednak warto z nim jeszcze trochę pobyc. Zwłaszcza że jest doświadczonym kochankiem; sporo można się od niego nauczyć. Z Dannym stawiali dopiero pierwsze kroki w miłości. Naprawdę kobietą poczuła się teraz - dokładnie w niedzielę.

Uśmiechnęła się do swych myśli. A i wspomnienia po tym pięknym mężczyźnie będą coś warte. Kto wie, jak jej się ułoży życie. Może nigdy już nie spotka takiego wielbiciela? Kolekcjonowanie wspomnień może nie ustępować kolekcjonowaniu dzieł sztuki.

Kiedy Jude zadzwonił do drzwi, otworzyła rozjaśniona.

- Witaj! Chodź.

On jednak zatrzymał się w progu.

- Poczekaj - powiedział. - Pomyślałem, że może pojedziemy najpierw coś zjeść? Jest taka świetna restauracyjka przy River Walk. Potem moglibyśmy obejrzeć Fiestę Texas, a jeszcze potem potańczylibyśmy w „Crazy Eights”.

- O ho, ho! Przygotowałeś jakiś wielki repertuar.

Uśmiechnął się szeroko.

- To jest program, który mi pomoże nie rzucić się na ciebie od razu.

- Ach tak! - zaśmiała się. - Więc o to chodzi.

Skinął głową.

- Właśnie. W takim razie co, pojedziemy?

Spojrzała po sobie.

- Nie wiem, czy jestem dobrze ubrana. Spodnie i bluzka bez rękawów...

- Świetnie wyglądasz - ocenił.

- Tak? No to czekaj, tylko wezmę torebkę. - Cofnęła się i po chwili była już z powrotem.

Kiedy zamykała drzwi na klucz, zapytała:

- A gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

Uniosła brwi, zdziwiona. Schowała klucze i poszła pierwsza korytarzem.

- Bo wiesz - podjął - wracając do San Antonio, wpadłem wczoraj do ciebie.

-I co, nie zastałeś mnie?

- Właśnie.

- A więc widocznie gdzieś wyszłam.

- No, o tym mówię.

- Ale czy ja ci się muszę opowiadać?

Odkaszlnął.

- Nie, oczywiście nie. Tyle, że stęskniłem się za tobą...

Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś.

- O tak, całkiem nieźle.

- Mmm.

Zaśmiała się.

- Jude, jak na kogoś, kto woli „nie wikłać się w nic poważnego”, wydajesz się zazdrosny?

- Wiem. A właściwie sam już nie wiem, czego chcę. Może ty wiesz, czego chcę?

Zaśmiała się znowu i nic nie odpowiedziała.

Doszli do parkingu i wsiedli do auta.

- To gdzie jedziemy na ten lunch? - spytała. - Bo zapomniałam.

- Ta knajpka nazywa się „Boudro”. Dają tam wiejskie przysmaki. Świetnie też komponują drinki.

- Drinki! Ale to chyba nie na tę porę? Za to „wiejskie przysmaki” - czemu nie. Ruszajmy do „Boudro”.

Po lunchu rzeczywiście pojechali obejrzeć Fiestę Texas. Nasyceni widowiskiem, wrócili do samochodu. Carina przeciągnęła się w fotelu.

- Przyjemne są te klimatyzowane wozy - powiedziała. - Nie wiedziałam, że jestem aż tak zmęczona... Bo też i wielki jest upał.

- Racja, upał jest- zgodził się Jude.
- Wiesz co? - spojrzała na niego. - To chyba nie jedźmy już dzisiaj do „Crazy Eights”. Wybierzemy się tam kiedy indziej.
- Jak sobie życzysz. Skoro jesteś zmęczona...
- No właśnie. - Znowu się przeciągnęła. - Zamiast tego zapraszam cię do siebie. Zrobię jakąś lekką kolację. Może omlety, jeśli lubisz.
- Omlety? Lubię. - Włożył kluczyk do stacyjki. - Ale przedtem będzie prysznic. Zgoda?
- Czemu nie - wzruszyła ramionami. - Wody nie brakuje.
- Ale prysznic we dwoje.
- Co? Ach ty! - Zaczęła się śmiać. Potem położyła mu głowę na ramieniu. - Wiesz, Jude? Ty chyba zgadujesz moje myśli. Bo ja właśnie też chciałam ci zaproponować wspólny prysznic. Przed omletami.

Jude opuścił mieszkanie Cariny trochę po północy. Tym razem powiedział jej, że wychodzi, obudził ją. Nie chciał się wymykać chyłkiem. Pocałowali się i obiecali sobie jak najszybciej nowe spotkanie.

Wróciwszy do domu, Jude rozglądał się za Johnem, czy może wciąż jeszcze pracuje, ale nie paliły się żadne światła. Wobec tego ruszył na górę i wkrótce już zasypiał, wielce utrudzony, we własnym łóżku.

O szóstej rano obudził go telefon.

- Crenshaw - zamruczał do słuchawki.
- Jesteśmy na lotnisku - odezwał się Hal. - Czy mógłbyś nas odebrać?

- Oczywiście. - Jude przetarł oczy. - Już się zbieram.

Po pięciu minutach wyprowadził wóz z garażu. Ruch na ulicach był o tej porze niewielki, więc po kwadransie zbliżał się już do terminalu.

Hal i Ruth czekali z walizami turystów na podjeździe.

- Cześć - powitał ich Jude. - I jak tam misja?

- Zgodnie z przewidywaniami - odezwał się Hal, pakując walizy do bagażnika.

Ruszyli z piskiem opon.

- No więc namierzylіśmy ich - kontynuował Hal. - Patter-sonowie wyprawili wczoraj wieczorem wielkiego TIR-a z towarem. Transport powinien przybyć do San Antonio jutro przed świtem.

- A czy wiecie, jak zamaskowali kontrabandę? Jak przeszmuglują towar przez granicę?

- Wiemy - odezwała się Ruth. - Upakowali wszystko w starych meblach, antykach portugalskich. Bardzo sprytnie.

- No to mamy ich - skinął głową Jude. - Koniec operacji coraz bliższy.

Począł z telefonem do Cariny do pory poobiedniej. Po-tem wystukał jej numer i zapytał:

-I jak ci się spało tej nocy?

Zachichotała.

- A wiesz... Spałam lepiej wtedy, kiedy wyszedłeś.

- To zrozumiałe. Bo ja mam tendencję do ściągnięcia koł-dry w swoją stronę.

- Albo do jej zrzucania. No a co u ciebie?

- Świetnie. - Naprawdę czuł się świetnie. Pewnie miał w tym udział dopływ adrenaliny do żył, od samego rana. - I chciałbym cię zaprosić na tańce, dziś wieczorem.

- Do „Crazy Eights”?

- Właśnie. Ale tam zaczynają grać dopiero po ósmej.

- Nie szkodzi. Może być po ósmej.

- Świetnie - powtórzył Jude. - Przyjadę po ciebie przed ósmą.

Carina odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się. Zamierzała wykorzystywać wszystkie chwile, jakie da się spędzić z Jude'em, bez oglądania się na przeszłość.

Trochę potem znów zadzwonił telefon. Pomyślała, że może Jude'owi coś się przypomniało. Ale nie, to była Marisa.

- Al wrócił - powiedziała Marisa.

- Cześć, kochana. To dobrze czy źle, że wrócił?

- Jest jakiś dziwny, napięty. I prawie mnie nie zauważa. Chyba jednak wybiorę się do matki, do Dallas. To już nie jest małżeństwo, Carina - poskarżyła się Marisa. - W ogóle nie wiadomo, co to jest. Ja i dzieci staliśmy się dla niego jak powietrze.

- Powiesz mu, że wyjeżdżasz?

- Nie. Zresztą jego znów nie ma w domu. Wpadł o świcie i zaraz znów wyszedł. Powiedział, że nie wie, kiedy wróci.

Carina westchnęła.

- No tak. A wynajęłaś już detektywa?

- Nie. Pomyślałam, że nie będę się wygłupiać. Ja wiem, że i tak już Ala nie odzyskam.

- Co za los. Strasznie mi cię żal, Marisa. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

- Teraz? Chyba nie. Może tylko nie mów o niczym rodzicom. Na razie.

- Na pewno nie powiem.

Po tamtej stronie zapadła cisza. Potem dało się słyszeć pociąganie nosem.

- To pa, kochanie. Odezwę się do ciebie z Dallas.

- Pa. I trzymaj się.

Carina serdecznie kochała swego brata, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest on aniołem. Im była dojrzsza, tym dokładniej widziała wady i jego własne, i Benita. Nieraz miała ochotę połamać kij na zakutych łbach braci, wbić im trochę rozumu do głów. Zresztą może w ogóle mężczyźni to w większości zdraycy i podrywacze?

Nagle poczuła, że to dobrze, iż z Jude'em nic bliższego jej nie łączy. Nie grozi jej złamanie serca, kiedy się rozstaną. Jedyłą miłością jej życia jest i pozostanie muzyka. Muzyka nigdy jej nie zdradzi. Jak to dobrze, że jest na świecie muzyka.

-I znów piątkowy wieczór w „Crazy Eights” - powiedziała Carina, gdy wysiadali na parkingu przed barem westernowym. - Co za hałas! Oczywiście zapomniałam swoich za-tyczek do uszu.

Jude poklepał się po kieszeni.

- Ale ja nie zapomniałem.

Oboje wymienili uśmiechy.

Carina zdążyła być tego dnia jeszcze na zakupach i upolowała sobie kompletny strój dżinsowy, co prawda bez kow-

bojskich butów, które uznała za zbyt ekstrawaganckie. Nabyła do tańca zwykłe pantofle na płaskim obcasie.

W lokalu nie było na razie wolnych stolików. Oboje stanęli więc pod ścianą, objęci, i czekali na jakąś okazję. Obserwowali parkiet, na którym już kręciło się mnóstwo par.

- Może się od razu przyłączymy? - zapytał Jude.

- Właśnie, chodźmy- zgodziła się.

Przetańczyli ileś kawałków, po czym udali się do baru, gdzie Carina zamówiła dla siebie „coś bezalkoholowego”.

Rozbawiło to Judea.

- A już miałem nadzieję - powiedział - że będę cię mógł i musiał zanieść dzisiaj do łóżka, tak jak wtedy.

- Mowy nie ma. Powinam być przytomna, ile razy wchodzię z tobą do sypialni...

Zaśmiał się i sięgnął po swoje piwo.

- Carina, jesteś niebywała. Chyba już ci to mówiłem.

Do północy wybawili się do syta. Potem wrócili do mieszkania Cariny i kochali się czule, póki nie pokonało ich zmęczenie.

Po krótkim śnie Jude zaczął się podnosić.

- Co to, wychodzisz? - zamruczała. - O tej porze? Dlaczego?

- Mam jeszcze coś do załatwienia. Ale wrócę tu, jeśli zechcesz, przed świtem.

- No wiesz. To ty jesteś niebywały, nie ja. Ale dobrze, wróć.

Pocałowali się na do widzenia i Jude wyszedł, cicho dociskając drzwi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Magazyn Pattersonów został poddany bezpośredniej obserwacji. Agenci siedzieli w wynajętej furgonetce i czekali na rozwój sytuacji. Hal zdążył wcześniej spenetrować wszystkie wnętrza i sporządził dokładny ich plan.

Po północy do Johna, Ruth i Hala dołączył Jude. Właśnie wychodziła z pracy ostatnia zmiana personelu. Pół godziny potem pojawili się dwaj bracia i powiadali do swych samochodów.

- Jak myślicie? - zapytał Hal. - Według moich obliczeń nikt tam już nie został.

- Lepiej jeszcze poczekajmy - zaproponował Jude. - Jeden nieostrożny ruch i zawalimy robotę.

- Niby racja.

- A co z Daviesem i Sullivanem?

John odkaslnął.

- Zaalarmowałem Sama, że są dowody, iż dali się przekupić. Watson załatwił nam dodatkowych agentów z Wirginii, którzy obserwują teraz obu, na wypadek gdyby chcieli zwać z miasta. Jest już zgoda na ich aresztowanie.

- Uhm. - Jude sięgnął po noktowizor i obserwował przez

chwilę magazyn Pattersonów. - Wiesz, Hal - powiedział - może rzeczywiście warto by już wejść tam do środka. Ty jesteś do tego najlepiej przygotowany. Gdybyś się na kogoś natknął, wytłumaczysz się jak zwykle „bezdumnością” i dasz nogę.

Hal skinął głową i od razu zaczął wciągać na siebie maskujące łachy włóczegi. Przygotowując się do takiej roli, od paru dni się nie golił. Zmierzwił sobie włosy na głowie i już po chwili wyglądał na prawdziwego menela.

- Porozglądam się parę minut - powiedział - i w razie czego dam wam sygnał.

Po kwadransie odezwał się, że droga wolna. Agenci opuścili furgonetkę i weszli do magazynu. Każdy znalazł dla siebie jakąś kryjówkę. Zaczęło się czekanie. Jude zajął pozycję naprzeciw wjazdu. Usiadł na podłodze, z trzech stron osłaniany przez wielkie paki. Zgasił latarkę, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Ale ze wszystkich sił starał się nie zasnąć.

- Benito, co ty tutaj robisz? Miałeś przecież wrócić do domu. - W głosie Ala było zdziwienie.

Jude i reszta agentów nadstawili uszu.

-I wróciłem - powiedział Ben. - Nawet się położyłem. Ale nie mogłem spać.

W magazynie zabłyśło światło.

- Kierowca dzwonił już - Al spojrzał na zegarek - że za chwilę będzie.

Jude poczuł nagłe ściśnięcie w żołądku. A więc zaczyna się!

Minęło niewiele minut, gdy na zewnątrz rozległ się warkot ciężarówki.

Brama magazynu została otwarta.

Można było dojrzeć, jak Al płaci kierowcy. Potem trzej mężczyźni zaczęli rozładowywać transport.

Kiedy TIR odjechał, bracia zamknęli magazyn i zabrali się do rozpakowywania mebli. Bez słowa wyszukiwali sztuki, w których były skrytki. Po półgodzinie na podłodze magazynu leżał spory stos plastikowych torebek z kokainą.

Jude uznał, że pora wkroczyć.

- Jak leci, chłopaki? - odezwał się, idąc w stronę Pattersonów. - Pracowici jesteście, nie sypiacie po nocach.

Benito, oniemiały, wybałuszył oczy. Al był bardziej opanowany.

- Jude Crenshaw. Skądś się tu u diabła wziął?

Jude wyciągnął rękę z rewolwerem w garści. W drugiej dłoni trzymał swoją odznakę funkcjonariusza.

- ABN - uśmiechnął się krzywo. - Mówi wam to coś?

Bracia spojrzeli po sobie.

- Jesteś z rządówki? - spytał Al. - Ty? To oni chyba tam już resztkami gonia, jeśli przyjmują do roboty takich frajerów.

W tym momencie ukazała się trójka pozostałych agentów.

- Może my wam się bardziej spodobamy? - Hal wyciągnął przed siebie swojego kolta.

Ruth zaczęła odczytywać braciom ich prawa.

John ruszył naprzód z kajdankami i wprawnie zakuł obu.

- Jesteście oskarżeni o handel narkotykami - na wszelki wypadek ogłosił Jude. - A teraz zapraszamy panów do naszej limuzyny.

Skutych braci poprowadzono do furgonetki. Magazyn zo-

stał opieczętowany. Agentów z Wirginii, inwigilujących Daviesa i Sullivana, powiadomiono, że jednego i drugiego też już mogą zdjąć.

Pattersonowie zostali zawiezieni do federalnej filii Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Funkcjonariusze przejmujący braci byli kompletnie zaskoczeni. Bo też na wszelki wypadek nikomu nie powiedziano tutaj wcześniej, że prowadzona jest jakaś akcja.

Po skończonej robocie Jude spojrzął na zegarek. Dochodziła dopiero trzecia. A więc można by jeszcze pojechać do Cariny. Wciąż trwała ta sama noc.

Poprosił o podrzucenie na parking, gdzie zostawił swój wóz.

Nie tylko można by, ale i należało do niej jechać.

Jude był tego absolutnie pewien.

Carina zaczęła się podnosić, usłyszawszy ciche pukanie. W oczekiwaniu na Judea przeniosła się na kanapę w pokoju.

Podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer.

- Tak, to ja - odezwał się Jude.

Otworzyła mu.

- Więc jednak wróciłeś - uśmiechnęła się.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Wydawał się jakiś bardzo zmęczony i smutny.

- Co się stało? - zapytała. - Coś złego?

Westchnął.

- Nie zrobiłabyś mi kawy? Wszystko ci wyjaśnię.

Poszli do kuchni. Carina uruchomiła ekspres. Kiedy się od-

wróciła, Jude zasiadał właśnie za stołem. Zaczął zdejmować marynarkę. Pod jego lewą pachą ukazała się kabura pistoletu.

- Co? Co to? - Carina zrobiła wielkie oczy.

On w milczeniu sięgnął po portfel. Wyjął z niego swoją odznakę i legitymację funkcjonariusza.

Pochyliła się.

- Pracujesz dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego?

Pokiwał głową.

- Dziś pierwszy raz mogę ci to powiedzieć.

Poruszyła brwiami.

- Miałeś tu jakieś zadanie?

- Właśnie. Zamknęliśmy naszą działkę w większej operacji, dosłownie pół godziny temu.

Patrzyła na niego, mrugając oczami.

- Kto „my”?

- Pracowaliśmy we czwórkę. Ja i jeszcze troje innych agentów.

- Ach tak. - Odwróciła się. Wyjęła z szafki dwa kubki i napełniła je kawą. Przeniosła je na stół i usiadła naprzeciw Judea.

- A to heca. Kompletnie mnie zaskoczyłeś. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Będę ci wdzięczny, jeśli mnie tylko posłuchasz.

Uniosła brwi.

- Dobrze. W takim razie słucham.

- Podczas akcji w San Antonio - Jude upił nieco kawy - współpracowałem z Wydziałem Do Spraw Narkotyków. Mieliśmy za zadanie wytropić tutaj przemytników kokainy.

- Prochy! Straszne świństwo - potrząsnęła głową. - Ciągle o tym piszą w gazetach. Najgorsze, że uzależniają się już małe dzieci w szkołach.

- Niestety - potwierdził. - Skierowano mnie do tej roboty dlatego, że w San Antonio nikt mnie nie znał. Równocześnie jestem z pochodzenia Tekszańczykiem, moje nazwisko nie jest tutaj obce. Było dobrą przykrywką podczas akcji.

Uśmiechnęła się

- To całkiem sprytne. - Uniosła się nieco i poprzez stół pocałowała go w policzek. - Ale wiesz co - powiedziała. - Jest już bardzo późno, może byśmy się położyli? Dokończysz mi opowiadać w łóżku. - Poszukała jego oczu. - A więc to tak - uśmiechnęła się. - Nie żaden hulajduś, tylko tajny agent. No, no. Al będzie zdziwiony, jak się o tym dowie. Marudził, że znalazłam sobie jakiegoś tam playboya.

On już jest bardzo zdziwiony, pomyślał Jude. Głośno zaś powiedział:

- O czymś jeszcze powinnaś wiedzieć.

- W porządku - westchnęła. - Ale może chodźmy do łóżka? Jest środek nocy.

- Twój narzeczony był sam wtedy, kiedy zginął.

Znieruchomiała, z szeroko otwartymi oczami. Co może mieć Danny do historii z kokainą? I był sam?

- Zginął, a właściwie został zabity - sprecyzował Jude.

- Zabity? Przez kogo? I był sam? - Nagle poczuła, że napływają jej łzy do oczu. - Więc nie oszukiwał mnie? Ale co mają do tego prochy? I kto go zamordował?

- Właśnie ci, co szmuglują. Rozpracowujemy i ten wątek. On ich po prostu nakrył.

Carina zaczęła drżeć.

- Zimno ci - zauważył. - Rzeczywiście powinnaś się położyć.

Podnieśli się i poszli do sypialni. Carina wślizgnęła się pod kołdrę.

- Dziękuję ci, żeś mi to powiedział o Dannym... Tylko nie rozumiem, dlaczego moi bracia twierdzili, że on był z jakąś kobietą? Zaraz rano poproszę o wyjaśnienia.

- Nie musisz nic wyjaśniać, Carina. Sprawa jest jasna. Obaj twoi bracia zostali dziś w nocy aresztowani. Przyłapałiśmy ich w momencie, gdy przyjmowali transport kokainy z Meksyku.

Zamrugnęła oczami. Powoli się podniosła.

- Jak to? Moi bracia? Aresztowani?

Potwierdził ruchem głowy.

Carina odrzuciła kołdrę. Wstała z łóżka.

- Transport kokainy? Oni? Ty żartujesz. Al i Ben nigdy by... Oni przecież... No nie, to nie do uwierzenia.

Z powrotem usiadła.

- A jednak - powiedział Jude.

-I ty wiedziałeś, czym obaj się zajmują, przyjeżdżając tutaj?

- Mniej więcej. Ale musieliśmy zdobyć dowody.

- A więc zamieszkałeś w San Antonio tylko po to, żeby ich przyłapać.

Mówiła teraz spokojnie. Jakby zbyt spokojnie. Jude wiedział, że ciężko będzie jej się pogodzić z prawdą. Jednak wi-

nien był jej tę prawdę; byłoby gorzej, gdyby się miała dowiedzieć o wszystkim z drugiej ręki czy z gazet.

- Już ci mówiłem, że pracowałem tutaj nie sam.

Odsunęła się w kąt łóżka.

-I to dlatego się ze mną spotykałeś... Nie chodziło ci o mnie, tylko o przyłapanie moich braci.

- To nie tak. To nie takie proste. Polubiłem cię prywatnie. Więcej, niż polubiłem. Choć było to nieprofesjonalne.

- Nieprofesjonalne! - prychnęła. Znowu wstała. - Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli stąd natychmiast wyjdiesz.

Podniósł się.

- Carina. - Wyciągnął rękę.

- Nie dotykaj mnie!

- Carina - powtórzył. - Przepraszam cię, że tak to wyszło. Wykonywałem swoją misję, to prawda, ale nie cały czas. Zwłaszcza od chwili, kiedy już wiedziałem, że nie jesteś w nic zamieszana... - urwał.

- Wyjdź - powtórzyła.

- Wiedz, że nie oszukiwałem cię w łóżku. Nic nie udawałem. I teraz też nie udaję. Chciałbym z tobą zostać...

- Ty... Ty... - jej głos załamał się. Po policzkach spłynęły łzy.

W milczeniu pokazała mu drzwi.

Jude skinął głową. Powoli odwrócił się i zaczął iść do wyjścia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Trzy dni potem czworo agentów rozmawiało na podjeździe domu, który zamieszkiwali wspólnie przez wiele miesięcy. Hal, John i Ruth czekali na taksówkę. Miała ich zawieźć na lotnisko.

Jude siedział już w swoim porsche.

- Dobrze się z wami pracowało - powiedział. - Nigdy nie byłem w tak zgranym zespole.

- Ale słodki - uśmiechnęła się Ruth. - No, ja tam najbardziej się cieszę, że mamy tę robotę za sobą.

- Ty, Jude, wracasz na przerwany urlop? - zainteresował się John. - Mam rację?

- Na parę dni pojedę do rodziny. Ale potem wracam zaraz do Marylandu. Wolę sprawdzić, co się dzieje w Agencji.

- W razie czego, gdyby cię już wylali - Hal zrobił oko - wal do nas, chłopie. Sam Watson da ci na pewno jakąś posadę.

Jude skinął głową.

- Słyszałem - podjął - że Davies i Sullivan gadali przed Watsonem jak na spowiedzi?

- Liczą na łagodniejszą pokutę - wtrąciła się Ruth. - Hej,

chłopaki - zmieniła ton. - To chyba nasza taksówka? Coś tutaj skręca. To trzymaj się, Jude.

- Wy też się trzymajcie - odpowiedział.

Począł, aż agenci powiadają, i pomachał im na pożegnanie.

Potem sam powoli ruszył ich śladem, skręcając jednak zaraz ku autostradzie wiodącej przez Hill Country.

Jazda przez Hill Country nie sprawiała mu dzisiaj przyjemności. Myśl zaprzątniętą miał dramatycznymi wydarzeniami ostatnich dni. Zastanawiał się też, jak mógłby pomóc Carinie. Co mógłby jej powiedzieć albo co zrobić, żeby się nie czuła taka zraniona?

Zresztą jemu samemu też było ciężko. Zaangażował się w ten związek bardziej, niż przypuszczał. Czy już nigdy mieliby się nie zobaczyć?

Oddalał się od San Antonio, ale jego serce pozostało w tym mieście.

Dojechał do rancza Jake'a i Ashley, lecz minął je, zmierzając tym razem ku domowi rodziców. Po paru minutach był już na miejscu. Zaparkował pod jednym z wysokich drzew bawełnicowych*. Na powitanie wybiegły mu psy myśliwskie, Blue, You, Benji i Buster. Jude nie był pewien, czy go poznają. W końcu bywał tu rzadkim gościem. Na szczęście rozległ się gwizd: na progu domu ukazał się stary Joe.

- Do nogi, pieski - zawołał Joe. - No, synu, co za niespodzianka! Chodź.

* Tak w oryg.: Cottonwood (przyp. tłum.).

Jude wysiadł.

- Cześć, tato. Mama też jest?

- Nie, pojechała do miasteczka. Ma jakieś rzeczy do załatwienia. Ale na pewno też odwiedzi Jake'a i Ashley.

Weszli obaj na ganek.

- Ależ dziś upał - Jude otarł czoło.

- To może zostaniemy na ganku? - zaproponował ojciec.
- Mamy tu cień i jakiś przewiew... Czego byś się napił?

- Czego? Może piwa?

- W porządku. To poczekaj chwilę.

Jude rozejrzał się po ganku. Stało na nim kilka foteli na biegunach. Zauważył strużyny przy jednym z nich i jakieś figurki. A więc ojciec rzeźbi. Podszedł i przykucnął. Cóż to za świątki robi stary Joe? Ach tak, są to jakieś podobizny kowbojów. Cóż by innego.

Usiadł w fotelu obok, umieszczając nogi na barierce ganku. Zaczął popatrywać ku wzgórzom. Pomyślał o Carinie. Przypomniało mu się jedno z pierwszych spotkań, gdy oglądali razem zachód słońca. Tyle rzeczy zdążyli zrobić wspólnie, że aż nie do wiary, iż cała ich znajomość trwała zaledwie kilka tygodni.

- No, jest piwo - pojawił się stary Crenshaw. - To na jak długo przyjechałeś?

Jude westchnął.

- Skończyliśmy właśnie operację w San Antonio, więc mógłbym tu pobyc parę dni. Ale potem muszę wracać do Fort Meade.

- Wydajesz się zmęczony.

- Ostatnio mało spałem.

- A nawet wyglądasz - zastanowił się Joe - jakbyś tracił najlepszego przyjaciela.

Jude przyłożył puszkę do ust, lecz zaraz ją opuścił. Zdziwiałe, jak ojcu udało się trafić w sedno.

- Bo chyba straciłem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Jude wzruszył ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Poznałem pewną kobietę, podczas akcji. Zaangażowałem się w ten związek. Może niesłusznie. Ale była tego warta. - Uniósł puszkę i napił się.
- A potem musiałem aresztować jej braci i ona teraz czuje się zdradzona. Bracia niestety handlowali narkotykami.

Stary Crenshaw zmarszczył czoło.

- Wiedziałeś, co oni robią, kiedy ją poznawałeś?

- Mniej więcej. Moim zadaniem było zbliżenie się do całej rodziny. Sama dziewczyna okazała się wkrótce niewinna. W nic nie była zamieszana.

- Do licha. Więc ona czuje się wykorzystana?

- Otóż to. A ja mam nieczyste sumienie.

Joe zaczął oglądać napisy na swej puszcze.

- Słuchaj, synu - powiedział - nie każdy może sobie pozwolić na luksus czystego sumienia. W twojej robocie trudno o coś takiego.

- Tak uważasz? - Jude zdjął nogi z barierki i zaczął się kołysać. - To co, miałbym zmienić pracę?

- Niekoniecznie - uśmiechnął się ojciec. - To, co robisz, jest potrzebne. Ktoś to musi robić.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu.

- Ja na stare lata widzisz, co robię. - Joe schylił się i podjął figurkę kowboja. - Bawię się struganiem. Zauważyłeś?

- Zauważyłem. Masz talent, tato. - Jude pierwszy raz, od kąd tu przybył, rozjaśnił się. - Nie tracisz czasu... I wiesz, co ci jeszcze powiem? Cieszę się, że tu przyjechałem. Dobrze być znowu, choć przez chwilę, w domu.

Po skończonej próbie Carina wyszła z uczelni i skierowała się do metra. Było piękne październikowe popołudnie.

Jeszcze miesiąc temu nie było do końca pewne, czy podejmie studia. Załamała się po tej historii z braćmi. Rodzice z trudem namówili ją, żeby jednak nie rezygnowała z muzyki, największej pasji swego życia. To, że Al i Ben okazali się łotrami, nie rzuca żadnego cienia na jej osobę.

Była więc w Nowym Jorku. Znalazła tu mieszkanie, które dzieliła z dwiema innymi dziewczynami. Jedna z nich, Gloria, zapytała dziś rano, czy miałyby ochotę poznać przyjaciela jej chłopca, Franka, który był bez pary. „Zastanowię się”, powiedziała Carina. Cóż, warto dać życiu nową szansę.

Na proces braci do San Antonio nie pojechała. Czuli, że nie wytrzymałyby czegoś takiego nerwowo. Wiedziała jednak od Marisy, wzywanej z Dallas w roli świadka, jak proces przebiegał. Przed sądem zeznawał między innymi Jude. No właśnie. Spotkanie z nim też kosztowałyby ją wiele nerwów.

Marisa tłumaczyła jej, że zbyt jednostronnie ocenia postępowanie Judea. On wykonywał tylko swoje zadanie. Poznała go właśnie dzięki temu, że je wykonywał. A to, że się poznali, jest dla Cariny raczej zyskiem niż stratą.

- Co ty opowiadasz! - buntowała się Carina. - On mnie wykorzystał. Nie chcę go więcej widzieć.

Nie była to jednak prawda, że nie chciała go widzieć. Teraz, schodząc do metra, zauważyła w tłumie jakiegoś wysokiego, mocno zbudowanego blondyna. I od razu zaczęło jej bić serce. Wiedziała, że to nie może być Jude, bo cóż by robił w Nowym Jorku? Pracował przecież w Marylandzie. A jednak przyspieszyła kroku, żeby zajrzeć w twarz nieznanemu.

Nie zdążyła. On wszedł do kolejki jadącej w przeciwną stronę, nim upewniła się, kim jest. Zresztą, nieważne. Historia z Jude'em jest tak czy owak zamknięta.

Kiedy dotarła do mieszkania, powiedziała Glorii, że w porządku, jest gotowa na spotkanie z przyjacielem Franka. Warto dać życiu nową szansę.

- Właściwie co się tam działo, w Teksasie? - dopytywał się Brad Johnson, kolega Judea z pracy.

Jude stukał w klawiaturę, nie podnosząc głowy.

- Hej - ponaglił Brad. - Pytałem cię o coś.

- Wątpię, żebyś naprawdę chciał to wiedzieć.

- Coś ty taki cięty - obruszył się Brad. - W ogóle od jakiegoś czasu zmieniłeś się. Co cię gryzie?

- Nic mnie nie gryzie. Teksas to zamknięta sprawa.

- Zamknięta, zamknięta. Chyba jednak nie zamknięta, jeśli po tylu miesiącach ciągle chodzisz nabuzowany. Ciężko się z tobą pracuje. Zrób coś z tym, chłopie.

Jude nabrał dużo powietrza i policzył w myślach do dzie-

sięciu. Potem zamknął komputer, wstał i wziął swoją kurtkę. Wyszedł bez słowa z biura.

Jadąc do domu rozmyślał, lecz w myślach nie mógł nie przyznać Bradowi racji. Rzeczywiście od miesiący jest spięty. I rzeczywiście trzeba by coś z tym zrobić.

Jude nie mógł zapomnieć Cariny.

Jej postać, twarz, pamięć dotknięć prześladowała go w snach i na jawie. Widział jej palce biegnące po klawiaturze fortepianu. Doszło do tego, że z własnej woli zaczął bywać na koncertach muzyki poważnej, rozważał nawet kupienie sobie karnetu kwartalnego.

Bał się, że posunie się aż do uwielbienia baletu klasycznego. Gdyby tak się stało, znaczyłoby, że zwariował i nie pozostaje nic innego jak się zastrzelić.

A więc co robić?

Nigdy w życiu od nikogo tak się nie uzależni

Jednak namiętności leczymy innymi namiętnościami. Może poszukać sobie po prostu nowej przyjaciółki? Odnowić stare znajomości? Ba, lecz Jude nie miał najmniejszej ochoty ani na nowe, ani na stare znajomości.

„Zrób coś z tym, chłopie”, powiedział Brad.

Łatwo się mówi.

Lecz jak to coś wykonać?

Tak czy owak Carina jest stracona.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie szły jej pasaże. Wciąż myliła się w trudniejszych miejscach. Wreszcie zatrzasnęła wieko klawiatury. Rozejrzała się po sali ćwiczeń w Juiłliard. To nie ma sensu, pomyślała. Idę do domu.

Spakowała nuty i ruszyła do szatni.

Po chwili była na ulicy. Miasto szumiało, szykowało się do weekendu. Był piątek, czwarty listopada. Wiał zimny, wilgotny wiatr.

Carina skierowała się w stronę metra. Nie spieszyła się. Nie miała na dziś żadnych planów. Nikt nigdzie na nią nie czekał.

- Carina!

Drgnęła, usłyszawszy swoje imię. Kto to woła? Głos jest znajomy. Czyżby... ? Odwróciła głowę.

Tak, to był on. Tym razem niewątpliwie on. Serce zaczęło jej mocno walić.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytała.

Stał przed nią, wysoki, bez czapki; wiatr targał mu włosy. Wydawał się szczuplejszy niż kiedyś i bledszy.

- Carina, chodźmy gdzieś porozmawiać - poprosił. - Nie zajmę ci dużo czasu.

Te ostatnie słowa uspokoiły ją. W jej życiu Jude Crenshaw był zamkniętą kartą. Zdażyła się do takiej myśli przyzwyczaić.

Skręcili w stronę najbliższego baru. Zamówili kawę.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

-Może.

- To zamówmy jakieś sandwicze.

Zgodziła się bez słowa.

Obserwowała go, jak pił kawę. Wokół jego oczu zauważyła nową siatkę zmarszczek, dotąd nieznaną. Pionowe bruzdy po obu stronach ust też się pogłębiły.

- A więc skąd się tutaj wzięłeś? - ponowiła pytanie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Musiałem cię zobaczyć.

Nie takie słowa chciała od niego usłyszeć. Choć właściwie sama nie wiedziała, co by chciała od niego usłyszeć. Od chwili gdy się spotkali, miała w głowie chaos.

-Aha.

- Carina, wiem, że cię okropnie zraniłem...

- Przestań! Proszę. To jest już skończone.

- Skończone - powtórzył za nią jak echo. - To nawet lepiej. Wobec tego może zaczniemy wszystko od początku... Jest coś, co się za mną ciągnie. Bo musisz wiedzieć, że... - urwał.

Bezwiednie wstrzymała oddech.

- .. Że cię po prostu kocham - dokończył.

Zmusiła się, żeby oddychać. Spuściła oczy.

A on mówił dalej.

- Odkryłem to, nazwałem to sobie w ostatnich dniach. Ale to było we mnie chyba od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Pamiętasz? Bał dobroczynny, byłaś w czerwonej sukni... No i... No i teraz nie mogę spać, nie mogę pracować, nic nie mogę.

Zerknęła na niego. Wydawał się zgnębiony.

- Wszystko to beznadziejnie splotło się z robotą, jaką wykonywałem w San Antonio. - Jude zwiesił głowę. - Carina...

Zagryzła dolną wargę. Chaos w niej trwał. Nagle poczuła, że ma pod powiekami łzy.

- Jude... Jude, nie wiem, czy warto zaczynać od początku.

Wierchem dłoni otarła łzy.

- Czy tobie można ufać? Nakładasz tyle masek. I umiesz to robić. Kim ty naprawdę jesteś?

Jak cię pojawiła się kelnerka, przynosząc sandwicze z sałatą. Oboje nawet nie zerknęli na nie.

- Kim jestem? - zapytał. - Wiesz co, mam pewien pomysł. Kiedy będziesz na Boże Narodzenie w Teksasie, spotkajmy się. Zawiozę cię na ranczo moich rodziców. Tam od razu zrozumiesz, kim naprawdę jestem... Odkryjesz, że na pewno nie mam talentu ranczera. - Uśmiechnął się połową ust. Daj mi szansę. Daj nam szansę - poprawił się.

Mocowała się z sobą. Nagle poczuła, że jest jej gorąco. Rozpięła płaszcz. Dopiero teraz.

- Może byśmy już poszli? - zaproponowała. - Chciałabym przed nocą być w domu.

Jude pokiwał głową.

- A co z sandwiczami?

Wzruszyła ramionami.

- Ja swojego zapakuję... Wiesz co, zrobmy tak. Będę myślała o tym, co mi powiedziałeś. Ale na razie nie umiałabym nic postanowić. Boję się przeżyć znowu taką historię jak w lecie. Niech upłynie trochę czasu. Czas podobno leczy rany.

Ujął ją za rękę. Lecz zaraz puścił.

- Rozumiem. Wobec tego dajmy szansę czasowi. Ale pozwolisz mi do siebie dzwonić? Pisać?

Nie odpowiedziała. Kiedy jednak kelnerka przyniosła zapakowane sandwiche, urwała skrawek papieru i zanotowała swój adres. Dopiero potem pomyślała, że on, jako pracownik wywiadu, i tak mógł go znać.

Kiedy dotarła do domu, na progu powitała ją Gloria.

- No, nareszcie jesteś. Masz jakieś plany na wieczór?

- Właściwie nie. - Carina rzuciła torebkę na mały stolik. Pudełko z sandwiczem zaniosiła do lodówki. - Chciałam podzwonić do rodziny. Przez cały tydzień nie miałam dla nich czasu.

- A nie miałabyś ochoty na randkę? Frank ma jeszcze jednego przyjaciela...

- Gloria, daj spokój. Frank ma wielu fajnych przyjaciół. Ale ja nie chcę się już spotykać. - Nabrała powietrza, a po chwili wypowiedziała głośno to, co tłumiła w sobie całe miesiące: - Wciąż jestem związana z kimś, z kim byłam tego lata.

Oczy Glorii zrobiły się okrągłe.

- No nie. Chyba coś zmyślasz, na odczepnego. Nigdy nie mówiłaś, że miałaś kogoś latem.

Carina westchnęła.

- Wiem. Myślałam, że jeśli nie będę o nim mówić, szybciej go zapomnę.

- A, to takie buty. Cholera... I co, on teraz wrócił?

Carina ruszyła do sypialni, którą zajmowały obie z Gloria. Zaczęła się przebierać w strój domowy Gloria przysiadła obok na łóżku.

- Wrócił, nie wrócił... Niczego nie jestem pewna.

- A jak się nazywa?

- Jude Crenshaw.

-I gdzie pracuje?

- W Fort Meade, w Marylandzie.

- O, to daleko... Jak go poznałaś?

- Przypadkiem. Tego lata, w San Antonio. Choć może nie przypadkiem.

- Dlaczego chciałaś go zapomnieć?

-To skomplikowana historia. Moja rodzina popadła w pewne kłopoty. On był w to zamieszany.

- To tak jak w *Romeo i Julii*⁷.

- No, niezupełnie. W każdym razie od czerwca go nie widziałam. Aż do dziś.

- Do dziś?! - wykrzyknęła Gloria. - I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Ale właśnie ci mówię. - Cień uśmiechu przemknął przez twarz Cariny. - Dziś czekał na mnie pod uczelnią.

- O rany. I co? Co ci powiedział?

- Że mnie kocha. Ale wątpię, czy można mu wierzyć.

Obie przyjaciółki rozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym Gloria zaczęła się nagle spieszyć, bo była umówiona z Frankiem.

- Dokończysz mi jutro, dobrze? - poprosiła.

Kiedy wyszła, Carina zrobiła sobie gorącej herbaty ziołowej. Sącząc napar, pozwoliła swobodnie dryfować myślom. Przyływały do niej obrazy z wakacji. Zaczęła się do nich uśmiechać. A więc Jude ją kocha. A co ona do niego czuje? W milczeniu wzruszyła ramionami. Nie musi tego dziś rozstrzygać.

Na szczęście nie musi dziś w ogóle o niczym decydować.

Jude zadzwonił w popołudnie niedzielne, przed Świętem Dziękczynienia*.

-I jak tam - zapytał. - Jak się czujesz?

- Całkiem nieźle - odpowiedziała.

- Ale jesteś jakby zachrypnięta.

- Wcale nie.

- A jednak. Nie jesteś zaziębiona?

W milczeniu wzruszyła ramionami.

- Do domu teraz nie jedziesz? - dopytywał się.

- Nie. Pojadę dopiero na Boże Narodzenie.

- To może bym cię teraz odwiedził? Oczywiście wynajmę sobie jakiś hotel, nie będę ci siedział na głowie.

Uśmiechnęła się. W tym miesiącu sporo do siebie pisali. Lubiła jego maile, było w nich zawsze coś ciekawego, no

* Święto to przypada w Stanach Zjednoczonych zawsze w ostatni czwartek listopada (przyp. tłum.).

i sporo przewrotnego humoru. Smutek nieudanego lata powoli mijał.

- Okej. Kiedy byś przyleciał?

- Może we środę po południu? Zadzwoń do ciebie już z hotelu. Gdybyś zechciała, wybralibyśmy się na Broadway, na paradę.

- Na paradę? Nie na balet? - udała zdziwienie.

- Może być i balet, jeśli się nie boisz, że znów zasnę.

Westchnęła. Chwilę milczała.

- Słuchaj, Jude... Tylko nie jestem pewna...

- Nic się nie bój, dobrze? - Najwyraźniej odgadł, o czym zaczęła myśleć. - Potrafię być džentelmenem, chyba wiesz.

Skinęła głową.

- Tak, pamiętam.

- To do zobaczenia za parę dni. I dbaj o siebie. - Jude rozłączył się.

Zachowywał się i postępował tak, jakby nigdy jej nie wyznał, że ją kocha. Jego maile były lekkie w tonie. Nie czuła z jego strony żadnej presji. Miała problemy raczej sama z sobą. Co to będzie, gdy spotkają się teraz na cały weekend? Czy zdoła się mu oprzeć?

Wpatrywała się w aparat telefoniczny i czuła, że drży. Ale właściwie dlaczego on lub ona mieliby się przed sobą bronić?

No właśnie, dlaczego?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jude zamówił pokój w „Marriotcie”, w centrum Manhattanu. Wprowadził się tam już we wtorek po południu. Tłumił zdenerwowanie, starał się opanować. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, mówiąc Carinie, że ją kocha. Może popełnił błąd. Nie wywołał tym wyznaniem żadnej reakcji z jej strony.

Zastanawiał się, czy nie poprosić starszego brata o jakąś poradę? Bał się jednak, że Jake go wyśmieje. Brat na pewno nie miał ze swoją Ashley nigdy kłopotów. Znali się przecież od czasów szkolnych i zawsze byli zgrani.

Wyjrzał przez okno hotelu. Potem spojrział na zegarek. Postanowił, że zadzwoni, ale nie do brata, tylko do Cariny.

Prawie od razu podniosła słuchawkę.

- Cześć - powiedziała. - Gdzie jesteś?
- W „Marriotcie”, w centrum. Miałabyś ochotę pójść ze mną na kolację?
- Czemu nie.
- To przyjadę po ciebie taksówką. O siódmej?
- Dobrze, o siódmej. Będę czekała. I... - zawiesiła głos
- cieszę się, że się spotkamy.

Nic więcej nie dodała. Ale to, co powiedziała, wystarczy-

ło, by Jude cały się rozpromienił. A więc nie jest tak źle, ona nadal go chyba lubi.

Zamówił przez telefon stoliki w restauracji, po czym wziął prysznic i ogolił się. Czuł się podekscytowany jak przed pierwszą w życiu randką, kiedyś tam... w czasach gimnazjalnych.

Wyszedł z hotelu już o szóstej, zakładając, że w mieście mogą być korki. I nie pomylił się, taksówkarz lawirował po Manhattanie dobre trzy kwadranse. Kiedy podjechali pod dom Cariny, poprosił o zaczekanie. Nacisnął przycisk domofonu.

- To ty, Jude? - usłyszał jej głos.

-Ja.

- Dobrze. Za minutę będę na dole. Jestem prawie gotowa.

Po chwili rzeczywiście pojawiła się. Była w nie dopiętym płaszczu, więc nie mógł nie zauważyć, że włożyła dziś sukienkę z czerwonego kaszmiru, podobną do tamtej z San Antonio. To był chyba znak dla niego? Znak bardzo przyjemny.

- Cześć - powitał ją. - Ślicznie wyglądasz.

Obdarowała go powłóczyстым spojrzeniem i wsiedli do taksówki.

Podczas kolacji wyciągał ją na zwierzenia, prosił o jakieś historyjki z dzieciństwa i słuchał... wszystkimi zmysłami słuchał.

- Ale dlaczego *ty* nic nie mówisz? - spostrzegła się w końcu. - Też byś coś o sobie opowiedział.

- Ja? Hm. Ja ci swoje dzieciństwo podaruję pod choinkę, chcesz? - Uśmiechnął się. - Będę o sobie opowiadał u nas na ranczu. W czasie świąt. Chyba dasz się zaprosić?

Chwilę mu się przyglądała.

- Kto wie. Może i dam. - Nadziała na widelec liść sałaty. - Swoją drogą ciekawe, które twoje „ja” jest prawdziwe. Grasz tyle ról...

- Ile! - wzruszył ramionami. - Kiedy byłem z tobą blisko, nigdy nie grałem. Gdybym coś udawał, zobaczyłabyś to w moich oczach. Oczy nie kłamią.

Zastanowiła się. Zajrzała mu w oczy. Były dziś błękitnosrebrne. I wydawały się w tej chwili prawdziwe.

Wyszli z restauracji w dobrych nastrojach.

- To co, odwiedzić cię teraz do domu? - zapytał.

Przystanęła.

- Czy ja wiem? A może bym obejrzała tego twojego „Marriott”?

Poczuł, że musi przełknąć.

- Chcesz mnie odwiedzić? Jesteś tego pewna?

- Pewna, niepewna... Wieczór jest jeszcze taki młody.

Musiał się uśmiechnąć. Ta sama Carina co zawsze, co kiedyś! Dowcipna i ryzykantka. „Młody wieczór”.

Zaczęli iść w stronę hotelu. Po paru minutach byli już na miejscu. Weszli, a kiedy mijali recepcję, dobiegły ich dźwięki muzyki z pubu na antresoli.

- Grają na żywo? - zainteresowała się Carina. - Może byśmy posłuchali?

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - wykonał dworny gest. - Chodźmy na górę.

W pubie występował dziś dixielandowy jazzband.

- Nie jest to country-and-western... - uśmiechnęła się.

- Nic nie szkodzi, przy tym też można potańczyć.

Na razie zasiedli na wolnej kanapce w rogu. Zamówili drinki. Przysłuchiwali się muzyce. Zagrano parę przebojów Kinga Olivera.

- A co będziemy robić jutro? - zapytał w pewnym momencie Jude.

- Jutro? Ty chciałeś iść, zdaje się, na paradę?

Objął ją, a ona nie zaprotestowała.

- Dobrze, niech będzie parada. A wiesz, skąd by się ją najlepiej oglądało? Wiesz, z którego miejsca?

Pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Otóż z kanapy! - zaśmiał się. - W telewizorze. Tylko ekran pokaże ci wszystkie zbliżenia i tak dalej. I nie trzeba się przepychać w tłumie.

- Aa... Bardzo sprytnie. - Położyła mu głowę na ramieniu.

Chwilę siedzieli, milcząc. Orkiestra zaczęła grać coś wolnego.

- W sam raz dla nas - odezwał się Jude, pokazując głowę.

- Może zatańczymy?

- No, nareszcie! - wyprostowała się. - Już myślałam, że mnie nigdy nie poprosisz.

Wstali.

Przetańczyli wszystkie kawałki aż do przerwy, którą ogłosił lider jazzbandu. Potem wrócili do stolika. Osuszyli swoje szklaneczki.

- Zamówić jeszcze coś? - zapytał Jude.

Carina podniosła szkło i popatrzyła przez jego dno jak przez lupę.

- Czy ja wiem...

- No to chodźmy do pokoju - zaproponował. - Mam tam jeszcze różne rzeczy w barku.

Uregulowali rachunek i ruszyli do wyjścia.

Na półpiętrze złapali windę. Jej oszklona klatka poruszała się wewnątrz atrium, pozwalając obserwować ruch na wszystkich galeriach hotelu.

Pokój Jude'a zaskoczył Carinę. Nie był to pokój, lecz luksusowy apartament.

- Wykosztowałeś się - zawyrokowała.

- Tak myślisz? - wykonał zapraszający gest. - Miałem cichę nadzieję, że zechcesz mnie odwiedzić.

- Ach ty! - dała mu kuksańca.

- To co, napijemy się jeszcze czegoś? - zapytał.

- Może tylko wody... Jakoś zgrzałam się w tańcu.

- Gorąco ci? Właściwie mnie też. Może się trochę porozbieramy?

- Porozbieramy? - Zrobiła naiwną minkę. - No, czemu nie.

I już po chwili stała przed nim tylko w koronkowej bieliźnie.

Przygarnął ją do siebie i zaczął całować, zachłannie, jakby się nią żywił. Tyle miesięcy za nią tęsknił! Oddawała mu pocałunki równie namiętnie, równocześnie na oślep rozpinając jego koszulę. Pomógł jej; oboje pomagali sobie pozbyć się resztek ubrań. I już zaraz upadli nadzy na łóżko.

Teraz Jude zwolnił. Pomału pieścił piękne ciało, mu-

skął wargami, szeptał do ucha czułe słowa. Opuszkami palców wodzu po jej okrągłościach. Aż okryła się gęsią skórką i mocniej przytuliła do niego.

- Chodź już - szepnęła. - Nie mogę dłużej czekać.

Rozsunęła uda, szukając jego męskości.

I znalazła ją: pomagając sobie ręką, nasuwając się na niego, z westchnieniem ulgi.

Tyle na niego czekała!

Myślała, że go całkiem straciła.

A oto są razem, i więcej, są teraz jednym ciałem.

Podjęli wspólny rytm, który wkrótce zaprowadził ich na skraj rozkoszy. I przekroczyli tę krawędź, szybując ku niezwykłej ekstazie, wołając nawzajem swe imiona.

Potem leżeli cicho, nasłuchując szumu miasta w dole.

- O czym myślisz? - zapytał Jude.

Westchnęła.

- Zapomniałam już, jak to jest kochać się z tobą.

- Aha - uśmiechnął się. - Więc w międzyczasie byli inni.

I jak wypadam na ich tle?

- Coś ty! - obruszyła się. - Po tobie nie miałam ochoty pójść z nikim do łóżka.

Nie powiedział jej, że on po niej także nie miał ochoty, z nikim.

Po co mówić takie oczywistości?

Czyż on i ona nie powinni rozumieć się bez słów?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego poranka pojechali do Cariny, aby zabrać trochę drobiazgów. Zanim się pozbierali, była prawie jedenaście. Carina wiedziała, że w jej mieszkaniu nikogo nie będzie, bo dziewczyny miały na długi weekend wyjechać. Czowała się więc swobodnie.

I rzeczywiście nikogo nie zastali.

Zabrała przybory toaletowe, piżamę, no i kostium, w którym zamierzała pójść z Jude'em na musical w sobotę. Jude bowiem powiedział jej nagle, że mają bilety na jakiś musical.

- Na pewno nie na balet? - drażniła się z nim znowu.

Potem wrócili do hotelu i nie wychodzili aż do soboty.

Większość czasu spędzili w łóżku.

Obejrzeni z niego również paradę w Święto Dziękczynienia, tak jak to sobie zaplanowali. Choć prawdę powiedziawszy, niewiele zaobserwowali z tej parady.

Bo mieli w łóżku dużo ciekawsze rzeczy do roboty.

Stary Joe Crenshaw tuż przed Bożym Narodzeniem, ciepłym w Teksasie, urządził u siebie grillowanie. Zaprosił na nie wszystkich chętnych, rodzinę, znajomych.

W poranek przed grillem Jude wyruszył z rancza rodziców po Carinę do San Antonio. Nie widział jej od Święta Dziękczynienia, ale pozostawali ze sobą w kontakcie, dzwoniąc do siebie i wymieniając maile.

W czasie tamtego długiego weekendu nie dyskutowali o tym, co ich łączy. Judebwi wystarczyło, że Carina była dla niego miła, więcej niż miła, no i że zgodziła się odwiedzić go na ranczu w Teksasie.

Rozumiał, że jej główną pasją jest muzyka i że ma bardzo mało wolnego czasu. Nie był pewien, jak mógłby się na dłuższą metę wpasować w jej plany życiowe, i wolał nie pytać, by nie otrzymać niepomysłnej odpowiedzi.

Zajechał przed dom jej rodziców prawie dokładnie o dziewiętej. Carina czekała na zewnątrz, przy drzwiach frontowych. Wsiadł, gdy zaczęła iść w jego stronę. Objął ją i przycisnął do siebie, nic nie mówiąc. Kiedy puścił, wziął z jej rąk mały bagaż i pomógł wsiąść do samochodu.

- Nowe auto? - zapytała.

- Nie. To jeden z samochodów Jake'a. Pożyczył mi go.

- Aha.

Włączył silnik i spojrzał na nią.

- Coś się stało?

Zerknęła.

- A co, widać to po mnie?

- Widać. Coś z rodzicami?

- Uhm. Mama jest niezadowolona, że się znów z tobą spotykam. A jeszcze bardziej niezadowolona z tego, że nie wrócę dziś na noc, chociaż mówiłam jej, że gości mnie u siebie two-

ja bratowa. Ona uważa ciągle, że ty jesteś przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Powoli ruszył, kierując się ku autostradzie. No i pięknie. Właśnie tylko tego brakowało.

- Twój ojciec myśli tak samo?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Tata ostatnio mało się odzywał.

Skinął głową.

- A więc mama bierze stronę Ala i Bena, im jest gotowa wybaczyć, oni są niewinni, ale ja jestem winny.

- Takie bywają matki, Jude.

Chwilę milczeli.

- Doceniam, że jednak ty masz odwagę działać na własną rękę. - Sięgnął po jej dłoń. - Cieszę się, że ze mną jesteś.

Jej dłoń wydała mu się zimna.

- Denerwujesz się? - zapytał.

- Trochę.

- Nie trzeba - powiedział. - W każdym razie dzisiaj czekają cię same miłe rzeczy. Poznasz Jakea, chyba też Jareda, jeśli przyjedzie, ich żony, no i moich rodziców. Zapewniam cię, nikt z nich nie gryzie!

Uścisnął jej rękę i cały czas przytrzymał.

- Postaram się być dzielna - uśmiechnęła się.

Po dwóch godzinach skręcali już z autostrady w wąską drogę prowadzącą do rancza. Carina była zaskoczona. Spodziewała się ujrzeć jakiś domek przy szosie, czy dwa. Tymczasem wjechali na teren rozległej posiadłości, z łąkami, drzewami, pasącym się tu i ówdzie długorogim bydłem, owcami, kozami.

Wreszcie dotoczyli się przed obszerny bungalow w stylu staromodnej hacjendy. Carina pociągnęła nosem.

- Coś tu pięknie pachnie.

- Tata przygotowuje pieczeń. Ma swoje przepisy. Wiesz, zioła, sosy i tak dalej.

Wysiedli. Jude poprowadził Carinę na tyły domu. W obszernym patio, rozwartym ku polom, ujrzeli trzy pary dorosłych, małą dziewczynkę i niemowlę w wózek.

Mężczyźni wstali, gdy zobaczyli, kto nadchodzi. Najstarszy ruszył naprzód.

- A więc to jest Carina. - Uśmiechnął się. - Witamy, witamy. Gość w dom, Bóg w dom. - Ucisnął jej rękę i przedstawił się. - Jestem Joe Crenshaw, ojciec Judea. - Ujął ją pod ramię i poprowadził ku pozostałym.

- To jest moja żona, Gail, miłość mego życia, to mój syn Jake, to jego żona Ashley, a to córeczka Heather. No i najmłodszy z Crenshawów, jak dotąd, Joey - pokazał niemowlę.

Heather dygnęła.

- Jesteś śliczna. - Uśmiechnęła się do Cariny. - A ja mam śliczną lalkę, wiesz? Tata dał mi ją na urodziny. Chcesz zobaczyć?

- Oczywiście - odpowiedziała poważnie Carina.

Na to Heather podskoczyła na jednej nóżce i ruszyła biegiem w stronę domu.

- Mój syn Jared i jego żona Lindsey - Joe kontynuował przedstawianie. - No a to - wykonał półobrót - to jest przyczyna cierpienia miłosnych naszego Judea. Panna Carina Patterson!

- Jezu, tato! - jęknął Jude.

Carina zaczerwieniła się.

Ashley podbiegła do niej zaraz i objęła ją.

- Chodź, kochanie, nie słuchaj tego gadania. Chodź, siadaj z nami. Napij się mrożonej herbaty.

Mężczyźni usiedli dopiero wtedy, gdy Carina zajęła miejsce.

Nagle trzasnęły drzwi i z domu wyfrunęła Heather.

Jake powiedział:

- Ona ma tylko dwa biegi, wicie: albo porusza się pędem, albo śpi.

Heather zatrzymała się przy Carinie.

- Masz - wręczyła jej swoją lalkę.

Carina przyjrzała się zabawce. Była to lala z długimi czarnymi włosami, przybrana w kolorowe meksykańskie spódnice.

- Śliczna jest, prawda? - zapytała Heather. - Nazywa się Sophia.

- Bardzo ładnie - pochwaliła Carina.

- Ty też się ładnie nazywasz - uśmiechnęła się dziewczynka. I zaraz podskokiem zrobiła półobrót. - Wujku Jude - zmarszczyła nosek. - Dla kogo przywiozłeś Carinę, dla mnie?

Wszyscy się roześmiali.

- Nie tylko dla ciebie. - Jude objął Carinę. - Trochę też dla siebie. Pozwolisz?

Szybko upływały godziny w patio. Rozmawiano, witano nowych gości, przyrządzano i spożywano potrawy. Gail zaczęła opowiadać Carinie o swych synach. Carina pytała ją

o Judea. Po południu zjawiło się paru muzyków, którzy zagrali do tańca.

Jude niechętnie dzielił się Carina z braćmi. Ona jednak uważała, że byłoby niegrzecznie, gdyby nie zatańczyła z każdym z Crenshawów.

Wieczorem na niebie pojawiły się jaskrawe gwiazdy.

Nie da się takich zobaczyć w mieście, gdzie latarnie przyświecają blask nieboskłonu.

Jude obejmował swoją piękną partnerkę, obracając się z nią w slow-foksie. Zaglądał jej w oczy i myślał sobie: Cóż znaczą gwiazdy na niebie wobec tej gwiazdy, która jest teraz ze mną? Cóż znaczą tamte gwiazdy...?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Carina zaczęła już drzemać, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do pokoju. Odwróciła się i zobaczyła zjawę zbliżającą się do jej łóżka.

- Mam nadzieję, że to ty, Jude - powiedziała cicho. - A nie któryś z twoich braci.

- Najlepiej sprawdź - odezwał się głos.

Carina wyciągnęła ręce i objęła Judea za szyję. Połączyli się w pocałunku.

- Smakujesz jak Jude - zachichotała.

Kochali się tego wieczoru szybko, zachłannie, oboje wygłodzeni, ale też świadomi dwuznaczności sytuacji. W staroświeckim Teksasie nie było wcale oczywiste to, że panna Patterson i Jude Crenshaw, nie zaręczeni, spotykają się w jednym łóżku.

Po godzinie Jude zaczął się zbierać.

- Carina, nie dałabyś się zaprosić do nas na całe święta?
- zapytał.

- Dałabym. Ale co mam zrobić z rodzicami? Oni ci nie sprzyjają, a w dodatku zostawiłabym ich samych. Ala i Bena przecież nie ma.

Przytulił ją i pokołysał.

- Mam nadzieję - powiedział - że między mną i twoimi rodzicami kiedyś się ułoży.

- Dzwoniłam do nich po tamtym długim weekendzie, bo chciałam, żeby wiedzieli, że znowu się z tobą spotykam. Tłumaczyłam im, że gdyby moi bracia nie szmuglowali kokainy, nie byłoby żadnych problemów. Ty tu jesteś najmniej winny, po prostu wykonywałeś swoją robotę.

- Cieszę się, że to rozumiesz.

- Zajęło mi to trochę czasu.

Jude skinął głową.

- Kiedy się znowu zobaczymy? - zapytał.

Namyślała się.

- Poczekaj. Oboje po świętach wracamy na Wschód. Może jakoś po powrocie?

Nic jej nie odpowiedział. Nagle puścił ją i odsunął się.

- Muszę już iść. - Zaczął się podnosić. - To do jutra rana.
- Wciągnął dzinsy i cicho opuścił pokój.

Wyszedł, ale nie poszedł do siebie. Ruszył w stronę schodów i po chwili był w opustoszałym patio. Zasiadł przy jednym ze stolików. Popatrzył w niebo, na gwiazdy. A co z moją gwiazdą? pomyślał. Wszystko się komplikuje. Dlaczego ona chce się ze mną spotkać dopiero gdzieś tam, kiedyś, „po powrocie”?

Niełatwo wytrzymać to nieustanne przyciąganie i odpychanie, gorące spotkania przeplatane bezsensownymi rozstaniem. Najlepiej byłoby może wrócić do poprzedniego życia, sprzed Cariny. Cóż, próbował już wrócić do takiego życia, w ciągu ostatnich miesięcy! Ale z jakże opłakanym skutkiem.

Zwiesił głowę.

Siedział tak nie wiadomo jak długo, aż nagle stuknęły drzwi kuchenne i na progu pokazał się Jake. Tak samo jak on, Jake był w dżinsach i bosy.

Jake przysiadł się do Jude'a. Spojrzał na brata, potem w niebo i nic nie powiedział.

Mijały minuty.

Wreszcie Jude poruszył się.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał.

- Zachciało mi się pić. A ty?

- A, tak jakoś. Zastanawiam się nad swoim życiem... Rodzice Cariny odrzucają mnie. Ona sama się waha. Wiesz, jakie są kobiety: „I chciałabym, i boję się”. Jest nam ze sobą dobrze - ale ona się waha. Nie umie nic postanowić. - Westchnął. - Ogólnie sytuacja jest patowa.

Jake słuchał z uwagą.

- Opowiadałem ci już - zmarszczył czoło - jak Ashley mnie odpaliła, wtedy kiedy jej się oświadczyłem?

Jude zamrugał oczami.

- Odpaliła? Nie, nie opowiadałeś. - Pokręcił głową. - Ale jak to, przecież wy jesteście ze sobą od zawsze? Ja tu nie widzę logiki.

- Ja też nie. Ale ona świetnie ją widziała.

- Ech, kobiety... - zamruczał Jude. - Ciężko z nimi żyć, a bez nich jeszcze ciężiej.

Jake zaśmiał się cicho.

- Racja. Otóż to.

Obaj znów dłuższą chwilę milczeli.

Trochę później Jake zapytał:

- Oświadczyłeś jej się już?

- Nie. Do licha, jeśli ona nie chce ze mną spędzić Bożego Narodzenia czy sylwestra, to tym bardziej nie przyjęłaby oświadczyn.

- Skąd ta pewność? Logika kobiet dopuszcza sprzeczności. Ashley najpierw mówiła „nie”, a potem okazało się, że chodzi o jakieś głupstwo. I powiedziała „tak”. Popracuj nad Carina.

- Powiedziałem jej, że ją kocham.

- I co?

-I nic. Popatrzyła na mnie tak, jakby nie rozumiała po angielsku.

- To niezachęcające.

-Właśnie. Dobrze, że przynajmniej chętnie chodzi ze mną do łóżka.

- Ale tobie tego za mało?

- Jake, daj spokój. Zresztą: za mało. Spotykamy się tak rzadko...

- Czyli jesteś w kropce.

- Dokładnie. Sytuacja jest patowa.

- Cóż, nie zazdrozczę ci. - Jake ziewnął. - Ale będziesz musiał sobie jakoś poradzić. Tymczasem chodźmy jednak spać. Jest późno.

Następnego poranka Carina zeszła na śniadanie sama. Judea nie było. Rozejrzała się i pomyślała, że może jeszcze śpi. W kuchni siedziała tylko Ashley.

- Muszę zaraz jechać do kliniki - powiedziała Ashley. -
Całe szczęście, że jest to przedszkole dla Heather.

- Do kliniki? A kto się zajmie Joeyem?

Ashley wzruszyła ramionami.

- Gail. Ona uwielbia małego. Nie zgodziłaby się, żebym
wzięła do niego kogoś obcego. Wiesz - napiła się kawy
- kobieta, która normalnie opiekuje się naszymi dziećmi,
akurat siedzi przy swej chorej siostrze. I stąd ta improwi-
zacja. - Rozejrzała się. - Ty sobie tu jakoś poradzisz sama,
prawda?

Carina skinęła głową.

- A gdzie Jude? - zapytała.

- Ach, on, Jared i Jake wyszli gdzieś razem. Nie powiedzie-
li gdzie, ale myślę, że są w stajniach; Ulubiona klacz Jake'a
ma się żrebić.

Carina nalała sobie kawy.

- Jest problem - powiedziała. - Bo muszę być dzisiaj w do-
mu i myślałam, że Jude mnie odwiedzie.

- Poczekaj. - Ashley wstała i podeszła do telefonu. - Jake
ma zwykle komórkę przy sobie. - Wykręciła numer. - Hej,
skarbie, to ja. Jest tam z wami Jude?... To dobrze. Carina
chciałaby z nim mówić. - Wręczyła słuchawkę Carinie. - To
ja już idę - pokazała głową drzwi.

- Tak? - odezwał się Jude.

- Cześć. Właśnie jem śniadanie. Nie odwiózłbyś mnie po-
tem do domu?

Nie zareagował.

- Jesteś tam?

- Dobrze, odwiozę cię - powiedział i zaraz rozłączył się.

Carina ściągnęła czoło. Co się stało? Wczoraj wszystko było dobrze, tańczyli, mówili sobie miłe rzeczy. Kochali się. A dziś?

Odstawiła swój kubek i poszła na górę spakować torbę. Czym go uraziła, zastanawiała się po drodze. Tym, że następne spotkanie miałyby się odbyć dopiero po świętach? Wtedy, gdy stąd wyjadą?

Właściwie czego on od niej chce? Nie mogła tego zgadnąć. .. Chyba najlepiej będzie, jeśli go o to wprost zapyta.

Byli już w połowie drogi do San Antonio, a wciąż milczeli.

Wreszcie Carina zdecydowała się.

- Jude?

- Mmm?

- Powiedz coś.

- Na przykład co?

- Na przykład dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Co się stało? Obrzyłam cię czymś?

- Nie... Tak sobie tylko rozmyślałam.

- Nie powiesz, o czym?

Spojrzał na nią.

- Powiem. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle chcesz się ze mną widywać, jeśli twoi rodzice są temu przeciwni.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że powinna być z nim szczerą. Cóż tam rodzice. Ona sama czuje się wobec niego sprzecznie.

- Lubię się z tobą spotykać... - zaczęła. - Znamy się już

pół roku. Myślę, że przeczekamy jakoś niezadowolenie rodziców. Jeśli ty też lubisz się ze mną spotykać...

- Nie pleć andronów! - przerwał jej. - Czy „lubię”... Kobieto, przecież ja cię kocham! - Spojrzał na nią. - A co ty czujesz względem mnie? Chciałbym to wiedzieć.

Skinęła głową.

- To, co ja czuję... - powiedziała - jest skomplikowane. Byłam w tobie zakochana, póki się nie okazało, że jesteś kim innym, niż myślałam. Zraniłeś mnie i to się jeszcze nie zbliżniło.

Jude nabrał dużo powietrza i gwałtownie je wypuścił.

- Nie wierzysz w to, że cię kocham?

- Wierzę, że ty sam w coś takiego wierzysz.

- Jak mówisz? - zamrugał oczami.

Uśmiechnęła się smutno.

- Chyba słyszysz.

Pokręcił głową.

- Więc nadal mi po prostu nie ufasz.

- Wolę być ostrożna.

Westchnął.

- No tak. A więc wszystko jasne. Coś z tym będę musiał zrobić. Tylko co?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jude nerwowo chodził po pokoju.

Był późny wieczór niedzielny, a on właśnie wrócił do domu po weekendzie spędzonym w Nowym Jorku.

- Muszę zrobić coś zdecydowanego, w przeciwnym razie będę ją kochał na odległość do końca życia - zamruczał.

Ładne rzeczy, zreflektował się: na koniec zaczął głośno mówić do siebie. Powoli zaczynam fiksować, pomyślał.

W piątek poleciał do Nowego Jorku z zamiarem poproszenia jej o rękę. Był już kwiecień. Jej rodzice mieli wystarczająco dużo czasu na przemyślenie sytuacji. Zanim jednak zdążył przejść do rzeczy, Carina wspomniała, że jest właśnie po rozmowie z matką, która nie życzy sobie słyszeć imienia Judea nawet przez telefon.

W tej sytuacji stracił wiarę w sens oświadczyn. Wątpił, żeby Carina zechciała działać wbrew rodzicom. Wolał nie usłyszeć odmowy.

Jednak nie porzucał nadziei, choć sytuacja wydawała się beznadziejna.

Dalej wędrował po pokoju i mówił:

- Muszę zrobić coś zdecydowanego. Ona mnie kocha, ja to wiem, że mnie kocha.

Coś zdecydowanego, ale co? Przychodziła mu do głowy tylko jedna rzecz. Trzeba pojechać do Pattersonów i osobiście pogadać z nimi.

Zatrzymał się. Otóż to. Poleci do Pattersonów. Przecież go nie zjedzą. Bywał w gorszych opałach, wykonując zadania. Strzelano do niego, skakał z helikoptera bez spadochronu. Da sobie radę z dwójkiem opornych staruszków.

Utwierdziwszy się w postanowieniu, ruszył do sypialni. Szybko się rozebrał i wszedł pod prysznic. Puszczając strumień wody, przypomniał sobie swoją niedawną kąpiel z Carina. Zaledwie przedwczoraj pluskali się w hotelu razem.

Zatrzymywał się zawsze w tym samym „Marriotcie”. Carinie to się podobało, lubiła luksus. Jeśli tak, to spodobałoby jej się również w Fort Meade. Apartament Judea był bardzo wygodny. - Ale i tak kupimy sobie kiedyś dom - powiedział głośno. - Żeby nam się tylko nie sprzeciwiali jej staruszkowie.

Nakrywszy się pledem w sypialni, chwycił jedną z poduszek i przycisnął ją do piersi. Zasypiał marząc, że trzyma samą Carinę w objęciach.

W sobotę Jude był na lotnisku już o szóstej rano. Cały tydzień bił się z myślami: powiedzieć Carinie lub jej rodzicom o tym, co zamierza, czy nie mówić?

Ostatecznie uznał, że lepiej działać z zaskoczenia. Łatwiej uzyska posłuchanie u Pattersonów, jeśli nie da im czasu do namysłu, jeśli po prostu stanie przed nimi.

Podczas lotu denerwował się. Niebezpieczne misje, jakie wykonywał, to jedna rzecz. Pielgrzymować jednak w sprawach miłości - cóż, może to równie trudne?

Na lotnisku w Austin wynajął samochód. Po półgodzinie podjeżdżał już pod dom Pattersonów w San Antonio.

Wysiadł i zadzwonił do drzwi.

Otworzył mu Helmuth.

- Witaj, Helmuth - powiedział Jude. - Czy zastałem pana i panią Pattersonów?

- Owszem, panie Crenshaw. Zaraz im powiem, kto przyjechał.

Po paru minutach Jude został poproszony do domowej oranżerii, w której czekał na niego Chris Patterson. Stary Chris siedział na swoim wózku inwalidzkim, pod karłowatym figowcem.

- Proszę. - Patterson wskazał krzesło przed sobą. - Co pana do nas sprowadza? Domyślam się, że chodzi o Carinę.

Jude zajął miejsce.

- Tak jest.

- Rozumiem. No to do rzeczy.

Wszystkie przemyślenia i argumenty, gromadzone od tygodnia, nagle gdzieś uleciały z głowy Judea.

- Chodzi o to, że... - zająknął się. - Że kocham pańską córkę.

Chris patrzył nieruchomo.

- Według mnie - odezwał się - wystarczy ją znać, żeby ją kochać.

- Zgadzą się.

- Jednak pan zawiódł jej zaufanie i strasznie ją zranił. Cała trójka moich dzieci cierpi przez pana.

Jude pochylił się naprzód.

- Z całym szacunkiem, ale co do pańskich synów, to gdyby nie szmuglowali narkotyków, włos by im z głowy nie spadł.

Patterson odkaszlnął.

- Cóż... Ale Carinę oszukał pan. Udawał pan zaangażowanie, tymczasem szło o co innego.

- Poznanie jej było częścią mojego zadania, przyznaję. Ale zakochanie się już nie było.

- Ona to wszystko bardzo przeżyła.

- Wiem, proszę pana. Trudno mi wyrazić, jak bardzo żałuję tego, że nie od razu mogłem jej powiedzieć, kim jestem naprawdę i co robię.

- Moja żona w ogóle nie chciała dziś pana widzieć.

- Rozumiem. Żadne racje logiczne nie umniejszą jej bólu z powodu uwięzienia synów. Ale mam nadzieję, iż pani Patterson z czasem pojmie, że czy to ja ich aresztowałem, czy zrobiliby to kto inny, skutek byłby ten sam.

Chris westchnął.

- No a co z Cariną?

- Otóż to. - Jude zebrał się w sobie. - Właściwie to przyjechałem poprosić państwa o zgodę na nasz ślub.

- Co takiego?! A toś mnie pan zaskoczył. Czyżbyście już byli po słowie?

Jude poruszył brwiami.

- Niezupełnie... Postanowiłem, że formalnie poproszę ją

o rękę dopiero wtedy, gdy dojdzie do jakiejś ugody między państwem i mną. Jeśli dojdzie. Wiem, że Carinie bardzo zależy na waszej opinii.

- Tak, zawsze była mądrą córeczką - uśmiechnął się jedną połówką twarzy Chris. No, ale... - zawiesił głos. - Ale jest jeszcze inna trudność. Pan ma opinię kobieciarza, panie Crenshaw. Nie wiem, czy...

Jude pokręcił głową.

- To nie tak. Nie jestem żadnym kobieciarzem. Udawałem go tylko, w ramach mojej misji. W rzeczywistości...

Chris zdziwił się.

- Udawał pan, ach tak... Zaskakująco udatnie, zaskakująco.

Jude milczał.

- Ciekawe, jaki pan jest naprawdę - zamruczał Patterson.
- Nie zostaby pan u nas na lunchu? - zapytał głośno. - Byłaby okazja do pogadania.

Jude nagle poczuł ulgę. A więc Patterson gotów jest do dalszych rozmów. Czyli pierwsza przeszkoda została wzięta. Zatem sprawy idą w dobrą stronę.

Skończyła się nauka w Juilliard, Carinie został już tylko egzamin dyplomowy. W tej chwili spoglądała przez okno sypialni i myślała o minionym roku. Tyle się podczas niego zdarzyło, dobrego i złego. Wszystko dobre kojarzyło jej się z muzyką, mieszanina dobrego i złego - z Jude'em.

Swoją drogą to dziwne, że w ostatni weekend Jude nie znalazł czasu, aby ją jak zwykle odwiedzić. Coś tam jej tłumaczył w długim mailu, ale nie bardzo zrozumiała co.

Wiedziała jedno: że kocha Judea. Jednak kocha. Gdyby ją zechciał teraz porzucić, byłaby zdruzgotana. Coraz trudniej było jej się z nim żegnać, gdy wracał do siebie, do Fort Meade. Jaka szkoda, że jej rodzice nie akceptują Judea. Niezbyt dobrze wróży to na przyszłość.

Carina westchnęła. Rozejrzała się po swym małym pokoju. Powinna była zacząć się pakować przed powrotem do Teksasu. Co przyniesie przyszłość? Z Teksasu jest dużo dalej do Marylandu niż z Nowego Jorku. Jak będą się widywali z Judeem?

Kiedy kwadrans później zadzwonił telefon, była właśnie w trakcie przetrząsania zawartości szafki nocnej. Podjęła słuchawkę.

- Tak?

- Witaj, dziecinko. Co u ciebie?

Usiadła na brzegu łóżka.

- Cześć, tatusiu. U mnie w porządku, dziękuję. A jak tam u was?

- Po staremu. A wiesz, parę dni temu miałem gościa.

- O! Czyżby ciotka Lauraine? Wybrała się do was wreszcie?

Ojciec zaśmiał się cicho.

- Nie. Lauraine widziałem ostatni raz, jak leciała na dłużej do Europy. Nie, był u nas Jude Crenshaw.

Carina aż się zatchnęła.

- Co...? Jude u was? Dlaczego?

- Chciał porozmawiać. Był bardzo otwarty. A najbardziej...
- stary Patterson urwał.

- Co najbardziej?

- Najbardziej chciał porozmawiać o waszym ślubie. Zdążył ci się już oświadczyć?

Carina doceniła nagle to, że już siedziała, ponieważ poczuła wielką słabość w całym ciele.

Poczuła szum w głowie.

- Jesteś tam, skarbie? - zaniepokoił się ojciec.

- Tato... ja nie rozumiem... On mi nic nie mówił.

- Aha. To jeszcze nie zdążył. Bał się, że póki nie pogodzi się z nami, ty możesz mu odmówić.

Skrzywiła się. Więc to tak. Niby rozsądnie, a jednak... Nie wiadomo czemu poczuła się urażona.

- Wolałabym się nie dowiadywać o tym ostatnia.

- E, skarbie! - zaśmiał się ojciec. - Prawdopodobnie w ogóle nie było tu idealnego wyjścia.

- Tatusiu...

- Słuchaj, dziecko. Najważniejsze jest to, czy ty go kochasz.

Westchnęła.

- Czy kocham... Kocham! Długo walczyłam z tym uczuciem, ale... Tak, kocham Jude'a.

- No. To bardzo dobrze. Bo to jest rozsądny chłopiec, tak mi się wydaje. Na ile go poznałem... Długośmy ze sobą rozmawiali.

- A mama? - zapytała. - Ona też już się dała przekonać?

- Mama się waha. Wiesz, jest ta historia z Alem i Benem, których Jude aresztował. Ale nie przejmuj się zbytnio mamą. Jak wam się urodzi dzidziuś, będziesz ją miała po swojej stronie.

- Tato! - Carina zaróżowiła się. - Nie tak szybko...
- Szczęście trzeba łapać za nogi - powiedział sentencjonalnie ojciec. - Czasem dobrze jest działać szybko. Ja bym na twoim miejscu od razu powiedział „tak”, kiedy on się oświadczy.

Poczuła, że ma zaciśnięte gardło. Z trudem przełknęła.
- Przemyślę to - powiedziała cicho. - I dzięki za telefon.
- Trzymaj się, dziecinko. Łap szczęście za nogi.
- Powiedz mamie, że ją kocham.
- Powiem.
- Czy ona wie, że do mnie zadzwoniłeś?
- Oczywiście. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, nawet gdy się nie całkiem zgadzamy.

Po tej rozmowie Carina długo nie mogła przyjść do siebie. Siedziała, a w głowie jej wirowało. Wreszcie spojrzała na swój kalendarz ścienny. Miała na nim zaznaczoną datę koncertu dyplomowego. Wypadało to w najbliższy piątek rano. Podniosła słuchawkę i na tenże piątek po południu zarezerwowała dla siebie lot do Marylandu.

Jude wolno posuwał się w korku. Dlaczego miasto jest dziś takie zatłoczone? Może dlatego, że wszyscy poczuli zew wiosny i już w piątek po południu usiłują wydostać się na łono przyrody.

Pomyślał, że też gdzieś wyruszy, ale dopiero jutro, bo ma w domu parę rzeczy do zrobienia.

Przede wszystkim trzeba by dłużej pogadać z Cariną. Z jakiegoś powodu przestała się odzywać. Nie odpowiada

na maile. Pewnie ojciec powiedział jej o wizycie i takie są skutki. Co za pech.

W końcu dojechał w pobliże domu. Już z daleka nacisnął guzik pilota, uruchamiającego bramę garażu. Brama zaczęła się podnosić, a równocześnie ze schodków przed wejściem wstała jakaś postać. To Carina! podskoczyło w nim serce. Co ona tu robi?

Dodał gazu, podjechał i zaraz zahamował. Wysiadł.

Ona uśmiechnęła się do niego.

- Postanowiłam wreszcie skorzystać z twoich zaprosin - powiedziała.

- Nie do wiary. - Wziął ją w objęcia. - Od tygodnia nie odzywasz się, już nie wiem, co myśleć, i nagle znajduję cię na swoim progu... Ależ się za tobą stęskniłem! - Pochylił się i z wielkim uczuciem wycisnął na jej ustach pocałunek.

- Ludzie patrzą - szepnęła, kiedy ją na chwilę puścił. - Lepiej wejdźmy do środka.

- Niech się wypchają - wzruszył ramionami. - Długo czekałaś?

Pokręciła głową.

- Najwyżej dziesięć minut.

- Jesteś głodna?

- Czy ja wiem? Od lunchu nic nie jadłam.

- To pojedziemy gdzieś zaraz na kolację. Zostawisz tylko swój bagaż... Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś!

Objąwszy ją ramieniem, poprowadził przez garaż do kuchni. Carina zaczęła się rozglądać.

- Ładnie tu u ciebie - powiedziała.

- Zapraszam na dalsze zwiedzanie - wskazał schody. - Sypialnia jest oczywiście na górze.

Carina zdała sobie sprawę, że jest napięta. Dlaczego? Czyżby się spodziewała, że zostanie go nie w humorze?

Znów ją pocałował i zajął jej w oczy.

- Nie wiem, czy ci już mówiłem, że cię kocham?

- Raz czy dwa mówiłeś. Ale ja takich rzeczy nigdy nie mam dosyć.

- To dobrze. - Wrócił do pocałunków, wkładając w nie całe serce i całą pasję. Kiedy oderwał się od niej, oboje drżeli.

- Chcę jednak wiedzieć, kim ja jestem w końcu dla ciebie?

- Kim jesteś... - spuściła oczy. Lecz zaraz je podniosła. - Naprawdę myślisz, że chodziłabym z tobą do łóżka, gdybym cię także nie kochała? O, Jude. - Przytuliła się do niego.

Tego mu było trzeba. Serce w nim stopniało, w krzyżach poczuł dreszcz. Dotąd miał tylko nadzieję na jej wzajemność, lecz teraz zyskał pewność.

Bez słowa wziął ją na ręce. Przekroczył próg sypialni i delikatnie ułożył Carinę na szerokim łóżku. Zaczął ją rozbierać i po chwili miał ją już przed sobą olśniewającą, naga, upragnioną.

- Aleś ty piękna - wyszeptał.

Sięgnęła do jego krawata i do guziczków koszuli.

- To w twoich oczach jestem taka, ty mnie taką czynisz.

Kochali się bez pośpiechu; odprawiali swój rytuał miłosny niczym jakąś liturgię. Ich ciała były zarazem duszami, które rozmawiały ze sobą dotknięciem, spojrzeniem, sły-

szeniem, powonieniem, pięcioma, pięćdziesięcioma pięcioma zmysłami!

Potem leżeli obok siebie wyczerpani, całkiem zapomniawszy o kolacji.

Carina pomału otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Chciałam cię zapytać... - urwała. - Kiedy zamierzasz zrobić ze mnie uczciwą kobietę?

- Uczciwą kobietę? Ach! - zaśmiał się. - Nareszcie! - porwał ją w objęcia. - Carina! Więc wyjdiesz za mnie?

Pocałowała go w usta.

- Myślałam, że już nigdy mi się nie oświadczysz.

- Ależ oświadczam ci się. Sto razy ci się oświadczam.

I wyjdiesz za mnie?

- Tak - skinęła głową.

- Kiedy? Dziś? Nie, dziś już za późno. Może zostaniesz do poniedziałku?

Zaśmiała się.

- Ja wolałabym raczej w czerwcu. Może w rocznicę naszego spotkania? Co o tym myślisz?

- Dopiero za dwa miesiące? Nie wiem, czy wytrzymam tak długo.

Pocałowała go znowu.

- Wierzę w ciebie, panie Crenshaw. Dasz sobie radę. Na pewno wytrzymasz.

EPILOG

Jude i Carina pobrali się na ranczu. Alternatywą było San Antonio, lecz to miasto zbyt dobrze pamiętało skandal w rodzinie Pattersonów, historię z Alem i Benem. Dobrym więc wyjściem był ślub na uboczu. Zwłaszcza że istniała już pewna tradycja tego rodzaju uroczystości: Gail i Joe Crenshawowie pożenili w plenerze także dwóch starszych braci Jude'a.

Rodzice Cariny stawili się tylko na początek ceremonii, gdy rano na ranczo przybył pastor. Potem Connie Patterson wycofała się dyplomatycznie, a z nią jej mąż. Matka Cariny wciąż jeszcze nie potrafiła przekonać się do Judea.

- Ale przekona się, na pewno się przekona - komentował na boku stary Chris.

Teraz Jude i Carina, jako główni goście i bohaterowie pikniku, który urządził wedle swoich recept Joe Cranshaw, siedzieli przy stoliku i przyglądali się tańcom na trawie. Grał na żywo zespół country.

- Szkoda, że twoi rodzice już odjechali - powiedział Jude.
- Ale i tak się cieszę, że nas odwiedzili.

- Ja też się cieszę. - Carina uściśnęła dłoń męża. - Wszystko w końcu się ułoży, zobaczysz.

- Hej, młodzi - pojawił się przy nich Jake. - Czemu nie tańczycie? Jude, powinieneś dziś skakać z radości! - Jake przysiadł się na wolnym krześle. - Carina, dziękuję ci w imieniu rodziny za uratowanie brata. Strasznie długą minę miał od miesiący. Diabli wiedzą, czyby się nie zastrzelił, gdybyś nie została jego żoną.

Carina zrobiła poważną minę.

- Oczywiście, wyszłam za Judea dla dobra jego rodziny. - I zaraz śmiechem przekreśliła to oświadczenie.

- Kiedy wracacie na Wschód? - zapytał Jake.

- Nie przed Czwartym Lipca* - odpowiedział Jude. - Moja szefowa oraz współpracownicy odetchnęli, tak jak wy, kiedy okazało się wreszcie, że się żenię. Dostałem tydzień wolnego i mam się nie pokazywać przed upływem tygodnia.

Jake skinął głową. I zaczął się podnosić.

- Nie wiem jak wy, ale ja zgłodniałem. Idę do bufetu, póki tam cokolwiek dają.

Poszli razem z nim. Kiedy popróbowali już różnych pyszności, zgromadzonych na kilku zestawionych stolikach, grała właśnie znowu muzyka.

- Nabraliśmy chyba sił, teraz można by potańczyć. - Jude wyciągnął rękę do Cariny. - Co ty na to?

Uśmiechnęła się.

- Ja na to jak na lato.

* 4 Lipca - amerykańskie święto narodowe, Dzień Niepodległości - Independence Day (przyp. tłum.).

I zaczęli się obracać, objęci, w takt powolnej pieśni miłosnej.

- Pamiętasz tę melodię? - zapytał ją.

- Skądś pamiętam - poruszyła brwiami. - Ale skąd?

- Grali to w San Antonio, wtedy, kiedy pierwszy raz poprosiłem cię do tańca.

- Aa... A tyś ją może wtedy zamówił u muzyków?

- Może.

-I teraz też?

- Może.

Położyła mu głowę na piersi.

- Czasem z trudem kojarzę to, że twardy agent rządowy i romantyk, jakim bywasz, to jeden i ten sam człowiek.

- Ja sam to sobie z trudem kojarzę... A zwłaszcza przeżywam, w głębi duszy.

Zatrzymała się i ujęła w dłonie jego głowę.

- Wiem, że agent Crenshaw jest bez zarzutu i świetnie wykonuje swoją robotę. Ale to jednak romantyk w tobie był tym, któremu udało się skraść moje serce.